8
Rok XVI
(797)
CENA 1.50 ZŁ
25. 2. 73

Dokąd w góry, kiedy spadnie śnieg?

Zimę mamy przedziwną. Czasami przypomina wiosnę, a czasami – jesień. Meteorolodzy określili już dwie anomalie obecnej zimy. Pierwsza – wyjątkowo niska suma opadów w grudniu i styczniu. Druga – tydzień słonecznej pogody w grudniu – miesiącu tradycyjnie pochmurnym.

A przecież ludzie nie tracą nadziei. W ostatnich dniach spadło trochę śniegu w górach. Wszyscy czekamy, że zima zawita i na niziny. I tym wszystkim, którzy nie tracą nadziei, prezentujemy turystyczny przewodnik.

Jeśli nawet zima w tym roku zawiedzie, to radzimy go wyciąć i zachować na rok przyszły. Przewodnik turystyczny nie tylko dla narciarzy znajdziecie na stronie 6.

ODGŁOSY
TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

NACZELNIK W SPÓDNICY

KONRAD FREJDLICH

Może to sprawiły egzaminacyjne emocje – wioskę zapamiętałem słabo. Zresztą wtedy, zdobywając amatorskie prawo jazdy za kierownicą rozklekotanej „Warszawy", obserwowałem przede wszystkim drogę. Gdzieś obok zakrętu stoi murowany kościół, potem prosty odcinek szosy prowadzi do gospody ludowej, a jeszcze dalej znajduje się szkoła.

– Stop – powiedział instruktor dając znak, abym ustąpił miejsca przy sterze. Bez entuzjazmu wyszedłem na drogę smaganą chłodnymi podmuchami jesiennego wiatru. – A teraz – usłyszałem głos egzaminatora – teraz pani naczelnik.

– Pani naczelnik? – spytałem obserwując młodą kobietę, która siadała za kierownicą.

Odpowiedziała mi uśmiechem, a potem powiedziała z nutką powątpiewania:

– No, jeszcze zobaczymy, do nowego roku daleko.

W ten sposób zawarłem znajomość z **JADWIGĄ MIELCZAREK.**

Wioskę zapamiętałem słabo. Toteż gdy redakcyjna „Wołga" zamaszyście podjechała pod budynek gminnej rady w **Rząśni**, rozejrzałem się nieznacznie szukając znajomych fragmentów pejzażu. Ale wszystko wyglądało inaczej, może dlatego, że po raz pierwszy widziałem tę wioskę w pełnym, zimowym słońcu, które jaskrawym blaskiem odbijało się od jasnych tynków urzędu. W hallu wielkości sionki natknąłem się na zaciekawione raczej niż niespokojne spojrzenie przechodzącej akurat urzędniczki. Czarna „Wołga" kojarzy się na wsi z władzą.

Wprost z tej sionki wchodzi się do naczelnikowskiego gabinetu. Mogłem w nim spotkać znajomą z egzaminu, ale mogłem też za urzędowym biurkiem zobaczyć kogoś zupełnie innego.

— Ach, to pan — uśmiechnęła się naczelnik Mielczarek wskazując mi miejsce obok dyrektora szkoły z Białej, który przyjechał w sprawie mieszkaniowej.

— Mam nadzieję, że nie będę państwu przeszkadzał — powiedziałem wyciągając notes.

Sprawy mieszkaniowe, tak trudne do załatwienia w mieście, jeszcze bardziej komplikują się na wsi, gdzie lokale służbowe można zliczyć na palcach jednej ręki. Przysłuchiwałem się rozmowie w gabinecie porównując racje każdej ze stron i przypuszczałem, że sprawa nie znajdzie rozstrzygnięcia. Nieoczekiwanie dyrektor szkoły wstał wyciągając rękę do pani naczelnik.

— A więc zgoda — powiedział.

Wyglądał na człowieka zadowolonego.

— Dużo ma pani podobnych spraw? — zapytałem, kiedy zostaliśmy w gabinecie sami i na biurku pojawiła się kawa zaparzona przez panią **Basię Włodarczyk**, która już od ośmiu lat pracuje w służbie rolnej.

— Bo u nas — powiedziała mimochodem — **są przeważnie babskie kadry. Nawet śluby daje kobieta w urzędzie stanu cywilnego.**

Rozgadaliśmy się. Jadwiga Mielczarek urodziła się w Rząśni, więc wieś zaakceptowała ją chętnie na stanowisku naczelnika, bo zawsze co swojak, to nie obcy. A zresztą znają ją tutaj jako dobrego fachowca, przez osiem lat była agronomem gromadzkim. Z początku, kiedy wróciła do domu jako absolwentka Technikum Rolniczego w Sędziejowicach, gospodarze kręcili głowami z powątpiewaniem. Nie lubią, gdy im ktoś podpowiada jak trzeba podejść do ziemi, a gdy to jeszcze robi młoda dziewczyna, trudno ścierpieć. Więc Jadwiga Mielczarek postawiła na młodzież, organizowała zespoły przysposobienia rolniczego i młodego rolnika. Szukała także sojuszniczek wśród kobiet i szybko dogadała się z kołami gospodyń wiejskich. Zachęcała ludzi do udziału w olimpiadach wiedzy rolniczej i trzymała za swoich kciuki na eliminacjach powiatowych. A kiedy podopieczni objęli własne gospodarstwa, okazało się rychło, że jej praca nie poszła na próżno. Dziś połowa wsi dawnej gromady ma opinię przodujących, w niejednej gospodaruje młody mistrz plonów. Stopniowo do agronoma w spódnicy przekonali się wszyscy. Toteż gdy zaczęto przebąkiwać na wsi o reformie administracyjnej, nikt z wyjątkiem samej Jadwigi Mielczarek nie zdziwił się, że to właśnie ją wytypowano na naczelnika gminy.

— Obawiałam się tych zwiększonych obowiązków, a na kursie administracyjnym w Uniejowie przestraszyłam się jeszcze bardziej, zresztą sam pan widzi.

Wymownie pokazuje drzwi, które prawie się nie zamykają i do gabinetu wpadają co chwila nowi interesanci.

— Chyba zamknę na klucz, bo w tych warunkach nigdy panu tego nie opowiem.

Dalszy ciąg na str. 7

NIE TYLKO CZYSTE NIEBO

Z prof. doktorem Włodzimierzem Michajłowem rozmawia Bogda Madej

Zmienia się Łódź. W wyniku realizacji programu przebudowy i modernizacji miasta inaczej będzie wyglądało nie tylko śródmieście Łodzi, które wreszcie stanie się prawdziwym centrum kulturalnym, handlowym i administracyjnym, ale zmieni się też geografia przemysłowa miasta. Obok nowych osiedli mieszkaniowych powstają nowe dzielnice przemysłowe. Powstaje ŁÓDZKA AGLOMERACJA MIEJSKA, trzeci tego typu ośrodek w kraju. To, co jeszcze dzisiaj jest monotonnym, podmiejskim krajobrazem za kilka lat będzie fragmentem wielkiego organizmu miejskiego. Jak postępować, aby w przyszłości człowiek swoją działalnością gospodarczą nie zagrażał środowisku, w którym żyje? W poszukiwaniu takiej odpowiedzi praktykom z pomocą przychodzą naukowcy.

W Łodzi odbyła się sesja naukowa zorganizowana przez Komitet Naukowy Polskiej Akademii Nauk **„CZŁOWIEK I ŚRODOWISKO"** i przez Łódzki Komitet Ochrony Środowiska. W sesji tej uczestniczyli naukowcy z całej Polski, a jej tematem była: **„Ochrona środowiska człowieka w Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej".** W obradach uczestniczył między innymi sekretarz naukowy Wydziału Nauk Biologicznych PAN, przewodniczący Komitetu Naukowego PAN „Człowiek i środowisko" — prof. dr **WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW.**

— Każda wielka aglomeracja ma swoją specyfikę i ochrona środowiska człowieka w każdej z nich wymaga innego podejścia. Jaki problem — zdaniem naukowców — jest najważniejszy dla Łodzi — z pytaniem tym zwróciliśmy się do prof. dr WŁODZIMIERZA MICHAJŁOWA.

— Nie ma żadnej wątpliwości, że dla Śląska na przykład problemem nr 1 jest zanieczyszczenie powietrza. Dla

Dalszy ciąg na str. 3

WKRÓTCE
GRA'D HOTEL
ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO

ODGŁOSY

Spotkaliśmy się ostatnio z pewnymi uwagami (były to rozmowy bezpośrednie, telefony, kilka listów), które trudno pozostawić bez odpowiedzi, mimo iż nikt z naszych rozmówców tego nie żądał. Wprost przeciwnie, były to zaledwie zasygnalizowane odczucia i opinie bez żądania konfrontacji. Ale o co chodzi?

Zarzucono nam, że zbyt słabo reagujemy na opinie jakie prasa krajowa prezentuje o naszym mieście, że się im zdecydowanie nie przeciwstawiamy, a nawet podzielamy je często, czy nawet inspirujemy wypowiedzi na naszych łamach autorów spoza środowiska. Chcielibyśmy, po pierwsze, potwierdzić ten stan rzeczy. Po drugie, ze stanu faktycznego wyciągnąć odmienne wnioski niż nasi oponenci, a w dodatku wnioski konstruktywne.

Nie uważamy, że miejscowe czasopismo musi bronić wszystkiego, co atakują inni, z zewnątrz. Byłby to w najgorszym wydaniu prowincjonalny partykularyzm, potwierdzenie prowincjonalnych kompleksów, o które od lat środowiska pozastołeczne się posądza. To tyle gwoli zasad. W naszym najgłębszym przekonaniu zawsze musi decydować meritum sprawy. W wypadkach ocen niesprawiedliwych, nie będziemy się wahać ze stanowczym protestem, uargumentowanym sprzeciwem. Oczywiście rozumiejąc, że penetracje z zewnątrz są z konieczności wycinkowe i uproszczone, oraz uwzględniając prawo autorów do własnych subiektywnych poglądów. Dawaliśmy tego dowody piórem Widoka, Lektora i innych.

Nie to jest wszakże najważniejsze. Uważamy, że nasz regionalny patriotyzm i poczucie współodpowiedzialności za gospodarczy, społeczny i kulturalny rozwój regionu nakazuje nam równie ostro występować przeciw wszystkim negatywnym zjawiskom, jakie wokół siebie, w naszym pobliżu dostrzegamy. Jest to na pewno przykry obowiązek, ale podyktowany autentyczną troską o jak najwyższą rangę twórczych osiągnięć poszczególnych środowisk naszego miasta i regionu. Stąd bierze się np. nasz niepokój o dalszy rozwój środowiska teatralnego, krytyczne opinie o niektórych publikacjach, czy zamieszczona w obecnym numerze polemika z autorami rozrywki w łódzkiej TV. Żadne inne względy dla nas nie istnieją i nie będą istnieć. Nie chcemy tak samo ludziom tworzącym wyświadczać „niedźwiedziej przysługi", entuzjazmem bez pokrycia jak i też dezorientować naszych Czytelników. Chcemy popierać to wszystko co naprawdę jest godne poparcia.

Jesteśmy przekonani, że takich okazji nigdy nam nie będzie brakować.

FAKTY

X KONGRES SD. Przez trzy dni (10—12 bm). obradował X Kongres Stronnictwa Demokratycznego. W Kongresie wzięło udział 397 delegatów reprezentujących ponad 90 tys. członków Stronnictwa. KC PZPR wystosowało list do X Kongresu SD w którym stwierdza m. in. „Przywiązujemy duże znaczenie do waszej pracy wśród niektórych grup inteligencji, a przede wszystkim środowisk społecznych, związanych z rzemiosłem, usługami i drobną wytwórczością". Obrady Kongresu miały roboczy charakter. W dyskusji, której główny nurt toczył się w zespołach problemowych, zabrało głos 139 mówców. Dokonano wyboru nowych władz, zmian w statucie oraz podjęto uchwałę o głównych kierunkach działalności Stronnictwa w latach 73—76. Przewodniczącym nowo wybranego Centralnego Komitetu SD został Andrzej Benesz.

V ZJAZD ZMS. W poczuciu współodpowiedzialności za dzień dzisiejszy i przyszłe losy kraju obradował w Warszawie w dniach 16—18 V Zjazd Związku Młodzieży Socjalistycznej. Ponad tysiąc delegatów reprezentujących ok. 1 300-tysięczną rzeszę członków organizacji opowiedziało się za aktywnym uczestnictwem w budowie socjalistycznej Polski. W Zjeździe wzięli udział przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i państwowych z premierem P. Jaroszewiczem oraz liczne delegacje organizacji młodzieżowych z krajów socjalistycznych. W podjętej uchwale, po wszechstronnej dyskusji Zjazd wytyczył kierunki działania na najbliższe lata oraz opowiedział się za wejściem w skład Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. Wybrał również władze na nową kadencję. Przewodniczącym ZG ZMS wybrano ponownie Bogdana Waligórskiego.

OCENA STYCZNIA. Biuro Polityczne KC na posiedzeniu 13 bm. oceniło realizacje zadań NPG w styczniu br. Stwierdzono wysoką dynamikę produkcji przemysłowej i budowlano-montażowej, przekroczenie zadań w transporcie, wzrost sprzedaży detalicznej towarów oraz dobrą dynamikę obrotów w handlu zagranicznym. Obok korzystnych tendencji stwierdzono występowanie pewnych zjawisk negatywnych, w związku z czym BP zaleciło podjęcie decyzji zmierzających do racjonalizacji zatrudnienia, polepszenia dyscypliny pracy i funduszu płac oraz dalszego usprawniania procesów inwestycyjnych.

Omówiono również całokształt spraw związanych z zaopatrzeniem rynku, zaakceptowano program dalszego powiększania zdolności produkcyjnych w przemyśle lekkim.

500-LECIE MIKOŁAJA KOPERNIKA. 18 lutego w przeddzień 500 rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika rozpoczęły się w całym kraju obchody upamiętniające epokę, postać i dorobek genialnego polskiego astronoma. Pamięć uczonego uczci również cały świat, gdyż rok 1973 został przez UNESCO ogłoszony „Rokiem Kopernikowskim".

Inauguracja obchodów przypadła w udziale Toruniowi, gdzie 19 lutego 1473 roku urodził się Mikołaj Kopernik. Przybyli tu przedstawiciele najwyższych władz, delegacje miast i województw w których działał wielki astronom i uczony. Wyznaczyli tu sobie spotkanie przedstawiciele wszystkich polskich uczelni, towarzystw naukowych, organizacji społecznych i młodzieżowych, jak również liczni uczeni zagraniczni.

W WOJEWÓDZTWACH. Perspektywy, a jednocześnie konkretne drogi realizacji podwyższonych zadań gospodarczych, decydujące o przyspieszeniu tempa rozwoju całego kraju i poszczególnych regionów — były tematem odbywających się w ub. tygodniu posiedzeń egzekutyw komitetów wojewódzkich PZPR i prezydiów WRN. Analizowano na tych posiedzeniach wszelkie możliwości działania w sferze organizacyjno-produkcyjnej, socjalnej, jak również politycznej. W posiedzeniach wzięli udział członkowie BP i Sekretariatu KC. W Warszawie — tow. E. Gierek, w Katowicach — tow. P. Jaroszewicz.

E. GIEREK NA KIELECCZYŹNIE. I Sekretarz KC odwiedził budujące się Zakłady Przemysłu Wełnianego w Opocznie, Radomską Wytwórnię Telefonów i Fabrykę Skór Syntetycznych „Polcorfam" w Pionkach. Wszystkie te zakłady pracują, bądź w najbliższym czasie rozpoczną produkcję na potrzeby rynku. W czasie spotkań z załogami przedsiębiorstw mówiono o przyspieszeniu inwestycji, jak i zwiększeniu w następnym okresie produkcji, na którą wszyscy czekamy. Kraj nasz stoi bowiem w obliczu powszechnej telefonizacji kraju. Na sztuczną skórę i tkaniny wełniane czekają fabryki i klienci.

PRACA IDEOLOGICZNO-WYCHOWAWCZA. W KC PZPR odbyła się dwudniowa narada sekretarzy propagandy KW PZPR oraz redaktorów naczelnych organów partyjnych, poświęcona omówieniu realizacji węzłowych problemów pracy ideowo-wychowawczej wynikających z treści uchwał VII Plenum KC. Dyskusje podsumował tow. Jan Szydlak podkreślając, że VII Plenum KC powinno stanowić inspiracje dla teoretycznych i praktycznych działań partii, rozwijania prac badawczych nad fundamentalnymi problemami marksizmu-leninizmu.

OPINIE

Wszystkie bez wyjątku czasopisma, i jest to w pełni zrozumiałe, rozpoczynają publikacje związane z „Rokiem Kopernikowskim". W bogatym i wszechstronnym dorobku uczonego istnieje wiele punktów odniesienia dla współczesnej nauki i kultury. Prof. Janusz Groszkowski, przewodniczący komitetu obchodów 500-lecia urodzin Mikołaja Kopernika, publikuje w *„Polityce"* obszerny artykuł pod wymownym tytułem „Na ramionach olbrzyma". Prof. Edward Lipiński w *„Kulturze"* zajmuje się traktatami Kopernika o pieniądzu, co było w owym czasie *„zdumiewającym osiągnięciem intelektualnym"*. Tytuł artykułu: *„Wśród monet i wśród gwiazd"*. W *„Życiu Literackim"* Jan Staszel *„Kopernik i początki Akademii Umiejętności"*.

Wróćmy jednak do mniej okolicznościowych publikacji.

W *„Kulturze"* dalszy ciąg wypowiedzi pod wywoławczym hasłem, autorstwa S. Kozickiego — *„Państwo to ja"*. W ostatnim numerze zabiera głos znany pisarz Bohdan Czeszko, powołując się na swoje doświadczenia wyniesione tym razem z działalności poselskiej. Aneksem niejako do tej wypowiedzi jest kilka ciekawych listów od czytelników.

W *„Polityce"* Marian Butrym twierdzi, że *„Kod przebiegł nam drogę"*. I ma rację, bo wprowadzenie kodu nie zostało poprzedzone odpowiednimi pracami przygotowawczymi, brak było jasnej i przekonywającej informacji, jak również sam kod został źle opracowany. *„Jest on zbyt ogólny w pierwszym swym członie* — twierdzi autor — *a zbyt dokładny w członie drugim. W efekcie 5-cio cyfrowy symbol jest za długi i trudny do zapamiętania"*.

Stanisław M. Jankowski w *„Życiu Literackim"* pisze o przemysłowej służbie zdrowia. Tytuł *„Pięć minut dla pacjenta"* jak wynika z publikacji, nie jest w tym wypadku reporterską przesadą. Lekarze, mimo lepszych płac niż w lecznictwie ogólnym, pracują w znacznie gorszych warunkach, jest ich za mało do rzeczywistych potrzeb, nie mają czasu na profilaktykę, marnują czas na wypełnianie papierków, są między przysłowiowym młotem, a kowadłem t.j. między presją pracowników fabryk, a naciskami dyrekcji, oskarżającej lekarzy o szafowanie zwolnieniami. Niby nic nowego od lat, ale jeszcze jeden potrzebny sygnał. Postęp na tym polu nie wszędzie ma miejsce w dostrzegalnym wymiarze. I na miarę nowej sytuacji socjalnej załóg.

Na łamach *„Perspektyw"* dalszy ciąg dyskusji o *„Weselu"* Wajdy. Po pierwszej euforii odzywają się głosy bardziej rozważne, w krytycznej tonacji. Tym razem zabiera głos J. A. Szczepański.

„Trybuna Ludu", organ KC PZPR, od niedawna w soboty ukazuje się w szacie magazynowej. Przykład to wymowny. Utarło się niejako w przeszłości przekonanie, że tak poważny dziennik nie może być redagowany atrakcyjnie, dynamicznie, nie może wychodzić naprzeciw czytelniczym potrzebom. Zmiany jakie w ostatnim czasie miały miejsce w *„Trybunie Ludu"* przekonały już chyba wszystkich, że jednak można inaczej. I to z dużym powodzeniem! Z ostatniego numeru magazynu odnotujmy tylko w skrócie wypowiedzi o karierze, o spędzaniu wolnego czasu, oraz naszej obyczajowości. Na obszerniejsze omówienie rezerwujemy sobie następną okazję.

Z KRAJU

W POBLIŻU

▲ **POSŁOWIE W TERENIE.** W pojęciu przeciętnego wyborcy działalność posła na Sejm PRL ogranicza się do uczestniczenia w debacie sejmowej. Wyborca ogląda sprawozdania z obrad Sejmu w serwisie telewizyjnym, słyszy o tym w radio lub czyta prasowe komentarze. Nie każdy zdaje sobie sprawę, że cały ciężar pracy poselskiej zamyka się w ramach działania komisji sejmowych. Posłowie, należący do poszczególnych komisji, wizytują różne instytucje położone w poszczególnych częściach kraju, zbierają materiały, o których dyskutują następnie w czasie obrad komisji. Tu — w komisjach — powstają podstawowe dokumenty, które po licznych konsultacjach i dyskusjach kieruje się do Laski Marszałkowskiej, czyli na plenarne obrady Sejmu PRL.

Sejm obecnej kadencji szczególnie wiele uwagi przykłada do pracy komisji. Posłowie stale wyjeżdżają na terenowe rekonesanse. Ostatnio w Łodzi i województwie łódzkim bawili posłowie z trzech komisji: zajmującej się sprawami oświaty i wychowania, przemysłu lekkiego i przemysłu chemicznego. Wizytowali oni zakłady produkcyjne, interesując się problemami gospodarki, materiałami i surowcami. Posłowie z Komisji Oświaty i Wychowania badali warunki, panujące w zakładach wychowawczych województwa łódzkiego i Łodzi.

Posłowie pracują też w zespołach poselskich. Zespół Poselski m. Łodzi w swoich najbliższych planach zajmie się sprawami porządku i bezpieczeństwa w mieście i zakładach pracy, oceni postęp dokonany w realizacji programu rozwoju Łodzi, a także zajmie się stanem opieki nad ludźmi starszymi.

▲ **OPŁATA ZA ATRAKCYJNOŚĆ.** Rada Ministrów uchwaliła nowy system wpłacania na mieszkanie spółdzielcze. Do tej pory wysokość wkładu uzależniona była od kosztów budowy. Obecnie uzależniona będzie od atrakcyjności mieszkania. Ustalono ryczałt za metr kwadratowy powierzchni i jest on różny dla poszczególnych miast. Na przykład w ośrodkach do 20 tys. mieszkańców i na peryferiach dużych miast metr kwadratowy powierzchni kosztować będzie 510 zł. W miastach powyżej 20 tys. mieszkańców — 580 zł., a w dzielnicach centralnych miast, które mają powyżej 100 tys. mieszkańców — 650 zł. Do tego dojdzie dodatek za wyposażenie.

Niższe stawki płacić będą ci, którzy otrzymają mieszkanie na parterze lub 4 i 5 kondygnacji domu bez windy.

Uzależnienie wysokości wkładu na mieszkanie od wyposażenia i położenia mieszkanie nie budzi wątpliwości. Tak jest na całym świecie. Gdyby tylko można było sobie jeszcze wybrać mieszkania tak położone, jakby się tego pragnęło. Wydaje mi się, że w łódzkiej sytuacji mieszkaniowej nie będzie to łatwe. I dlatego potrzebna jest szeroka akcja wyjaśniająca nowe zasady wpłacania wkładów na mieszkanie.

▲ **NOWA FABRYKA DOMÓW.** W maju przyjadą do Łodzi specjaliści z NRF, którzy przystąpią do montowania maszyn w nowej fabryce domów. Jest to fabryka firmy „KESTING". Ma być gotowa pod koniec lipca 1973 roku. Tak, tak, to nie pomyłka. W tym roku trzeba przygotować plac pod jej budowę, postawić hale i przygotować obsługę maszyn. Tempo pracy nadzwyczaj szybkie. Jeszcze w tym roku z fabryki, która powstanie na terenie między ulicami Przybyszewskiego i Dąbrowskiego, zmontuje się 5 budynków w nowym osiedlu przy ul Łęczyckiej i Przędzalnianej.

W przyszłości fabryka ta będzie dawała rocznie 5 200 izb. Będzie ona produkowała elementy podobne do tych, z jakich montuje się mieszkania systemu „W-70". Nawet dla nowego systemu przyjęto podobną nazwę: „W-70 K". Z elementów tych budować będzie Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego nr 3.

I tak to coraz częściej kończą się w budownictwie „żarty", a zaczyna prawdziwa praca. Tylko cieszyć się z tego wypada.

▲ **JESZCZE O MIESZKANIACH.** Tym razem wiadomość z dość daleka, bo aż ze Stalowej Woli. W mieście tym Huta „Stalowa Wola" zleciła swojemu Samodzielnemu Oddziałowi Wykonawstwa Inwestycyjnego wybudowanie... pensjonatu dla młodych małżeństw czekających na mieszkania. Budowie tej patronuje Zarząd Zakładowy ZMS z Huty „Stalowa Wola". W pensjonacie będzie 100 mieszkań jedno- i dwupokojowych, a także stołówka, pralnia i suszarnia.

Dlaczego o tym piszę? Mam bowiem nadzieję, że inicjatywa ta zainteresuje łódzkich budowlanych, ZL ZMS i niektóre łódzkie fabryki. Mam jeszcze i drugi powód. Swego czasu spotkałem się z postulatem zbudowania w Łodzi pensjonatu dla ludzi starych a samotnych. Pomysł przedni i nie tylko. Przede wszystkim pożyteczny i potrzebny. Ale jakoś cicho wokół niego. Dlaczego?

▲ **LUDZIE, CO SIĘ DZIEJE?** Zawsze martwił mnie fakt, że w naszym kraju usychają tradycje polemik prasowych. Były kiedyś czasy, kiedy ludzie spierali się o różne rzeczy, kiedy prezentowali swoje odmienne poglądy, a nawet kłócili się publicznie. Dziś polemiki prasowe należą do rzadkości. Czy dlatego, że mało jest ludzi z odmiennymi poglądami? Zapewne nie. Odmienne poglądy to ludzie mają, tylko niechętnie je zdradzają. Zdarzają się więc polemiki, ale — jak głosi stare przysłowie — jedna jaskółka jeszcze nie czyni wiosny.

Aż tu nagle! W **„Gazecie Ziemi Piotrkowskiej"** felietonista **SZCZEROWICZ** przyznaje się, że nie czytuje gazet, a potem polemizuje z artykułem Macieja Zdzienickiego o piotrkowskim lekarzu. Maciej Zdzienicki wyraził swego czasu na łamach „Dziennika Łódzkiego" zdziwienie, że w Piotrkowie Trybunalskim i powiecie piotrkowskim chodzi bezrobotny lekarz, choć właśnie w tym rejonie brakuje lekarzy.

SZCZEROWICZ (a felietonista „GZP" nie używa imienia) domagał się uściślenia sprawy lekarza P. Maciej Zdzienicki znów się zdziwił, bo Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium WRN w Łodzi zlecił władzom miejskim w Piotrkowie Trybunalskim zatrudnienie lekarza P. i powiadomienie władz wojewódzkich o wykonaniu tego polecenia.

Co tu więc uściślać?

Myślę, że skoro władze wojewódzkie wzięły w swoje ręce sprawę lekarza P., to załatwi się ją szybko i sprawiedliwie. Więc nie o spór ten mi chodzi, i nie o sprawę lekarza P., ale o sam fakt polemiki.

Czyżby był to powrót do dobrych obyczajów prezentowania uargumentowanej obrony swoich racji? Życzyłbym tego sobie i innym. A więc kto następny staje w polemiczne szranki?

▲ **A CO W SPORCIE?** Koszykarki Łódzkiego Klubu Sportowego powróciły na czoło ligowej tabeli. Gratulujemy.

Piłkarze ŁKS i Widzewa wyjechali na treningowe obozy do Jugosławii. Powinni ten czas dobrze wykorzystać, bo do początku wiosennej rundy nie jest już tak daleko. Kibice nadal mają nadzieję, że obie piłkarskie drużyny i w tej rundzie będą spisywać się dobrze.

A poza tym w sporcie nie wesoło. Już nie w tym łódzkim, a krajowym. Afery, nadużycia, przemyt. Czas solidnie wziąć się za pracę wychowawczą sportowców i... działaczy sportowych. Oj, czas i to najwyższy.

▲ **REKLAMA** — jak głosi stare powiedzenie — jest dźwignią handlu. Nie neguję potrzeby reklamy, wręcz przeciwnie. Jestem w tej sprawie dostatecznie zaagitowany, choć mam wątpliwości, czy zawsze właściwie ją uprawiamy. Ją — to znaczy reklamę. Wątpliwości te pogłębiło pokazanie się na łódzkich tramwajach (na dachu wozów doczepnych) plansz reklamujących nowy film pt. „Kopernik".

Na wozach tramwajowych reklamowano już „Uniwersal". łódzkie ZOO i teraz reklamuje się film pt. „Kopernik". Nie wiem, czy dla tego filmu jest to najwłaściwsza forma reklamy? Ciągle bowiem pamiętam o potrzebie umiaru w sprawie kopernikowskich obchodów. Rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika świętują teraz wszyscy — od przedszkolaków do rencistów. Oby nam tylko nie obrzydzono tego naprawdę wielkiego uczonego.

Może nie mam racji, ale coś mi się nie wydaje.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ WITOLD SŁAWSKI.

ZE ŚWIATA

Tym razem komentator ma duże możliwości wyboru tematu. Gdyby bowiem starczyło miejsca — w bieżącym tygodniu trzeba by omówić wiele wydarzeń ze sceny międzynarodowej:

kolejną dewaluację dolara o ok. 10 proc., z wszystkimi tego finansowymi, ale i politycznymi następstwami,

sytuację w Indochinach, której elementami są przedłużające się rokowania pokojowe na temat Laosu, nadal trwające incydenty zbrojne w Wietnamie Płd., ale też wymiana pierwszych grup jeńców i rozmowy Kissingera w Hanoi,

wizytę przewodniczącego Rady Państwa PRL — H. Jabłońskiego w Syrii — pierwszą na tym szczeblu,

zawarcie przez Kubę porozumień ze Stanami Zjednoczonymi i Kanadą w sprawie zwalczania piractwa powietrznego i morskiego,

kryzys rządowy w Urugwaju, w rezultacie którego prezydent Bordaberry zgodził się na udział przedstawicieli armii w nowym gabinecie,

trwające rozmowy w Wiedniu — wciąż jeszcze nie na sesji plenarnej — na temat przygotowań do konferencji rozbrojeniowej,

kampanię wyborczą we Francji, której finał w dniach 4 i 11 marca przyniesie odpowiedź na pytanie, jaki rząd — gaullistowski czy lewicowy — mieć będzie ten kraj,

debatę w Bundestagu...

To tylko najważniejsze z licznych aktualiów ostatnich dni, z konieczności więc możemy zająć się tylko niektórymi.

Dawno już na tym miejscu nie pisaliśmy o NRF. Dzisiaj okazję po temu daje PIERWSZE CZYTANIE W BUNDESTAGU projektu ustawy ratyfikacyjnej do układu o podstawach stosunków między NRD i NRF oraz ustawy aprobującej wniosek o przyjęcie NRF do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Oba projekty przekazano odpowiednim komisjom i powrócą one na forum parlamentu z pewnością pod koniec marca. Ale dyskusja, jaka wokół nich miała miejsce, zasługuje na uwagę. Potwierdziła bowiem, że rozbieżności między rządową większością i opozycyjną mniejszością nie są obecnie do przezwyciężenia, chociaż CDU/CSU nie jest zupełnie jednolita. Opozycja odrzuca układ z NRD, gdyż potwierdza on istnienie dwóch państw niemieckich i jest „sprzeczny z tezą o jedności państwa" oraz wnosi o uzupełnienie wniosku o przyjęcie do ONZ zastrzeżeniem, że akt ten nie będzie oznaczał uznania NRD z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Próbowano nawet zgłosić konstytucyjną skargę (chodziło o zbadanie, czy układ z NRD nie jest sprzeczny z zachodnioniemiecką konstytucją), ale ta propozycja spotkała się z poparciem zaledwie co trzeciego deputowanego CDU/CSU. W tej sytuacji zapowiedź Barzela, że opozycja głosować będzie przeciwko układowi z NRD — może się spełnić tylko wówczas, gdy wprowadzona zostanie partyjna dyscyplina w głosowaniu. Tak czy inaczej układ z NRD będzie ratyfikowany, gdyż — jak wiemy — w Bundestagu nowej kadencji koalicja rządowa ma zapewnioną większość. Kiedy to się stanie? — najprawdopodobniej na początku kwietnia.

Z wymienionych na wstępie wydarzeń ostatnich dni poświęćmy w kolejności nieco uwagi zawartym przez Kubę porozumieniom, a właściwie POROZUMIENIU ZE STANAMI ZJEDNOCZONYMI.

Prawda, że dotyczy ono jednej, konkretnej sprawy, a więc ma charakter bardzo ograniczony. Ale... Po pierwsze: wskutek przewidzianych porozumieniem sankcji wobec wszystkich osób powiązanych z jakąś akcją, wymierzoną przeciwko stronie drugiej, może być interpretowane jako zobowiązanie USA, że terytorium tego kraju nie będzie wykorzystywane w celach operacji inwazyjnej przeciwko Kubie, po drugie: dokonuje pewnego wyłomu w stosunkach między obu krajami od 1961 roku, gdyż wprowadza praktykę wzajemnych zobowiązań.

Z tego też powodu nie brak na łamach prasy światowej komentarzy, oceniających to porozumienie jako pierwszy krok, prowadzący do normalizacji stosunków amerykańsko-kubańskich. Taka ocena wydaje się nam przedwczesną, niewspartą jakimiś nowymi elementami w polityce amerykańskiej, chociaż znaczenie porozumienia jest na pewno szersze niż wyczytać to można w jego tekście.

I temat trzeci — WIZYTA GŁOWY PAŃSTWA, prof. Henryka Jabłońskiego w ARABSKIEJ REPUBLICE SYRII. Jak wspomnieliśmy powyżej, była to pierwsza wizyta przewodniczącego Rady Państwa PRL w Damaszku i można już stwierdzić: przyczyniła się do dalszego rozszerzenia polsko-syryjskich stosunków na płaszczyźnie politycznej i gospodarczej.

Syria zajmuje na Bliskim Wschodzie wysoką pozycję, co jest rezultatem jej polityki zagranicznej i wewnętrznej. Prowadzi ją z pozycji antyimperialistycznych, angażując się w największe problemy współczesnego świata: rozbrojenie, zakaz rozpowszechniania broni jądrowej, zapewnienie pokoju w Wietnamie...

Kraj ten jest główną z ofiar izraelskiej agresji, stąd ostrość, z jaką stawia się tam problem bliskowschodni. Syria właściwie opowiada się za wyzwoleniem okupowanych terytoriów, chociaż nie wyklucza również możliwości politycznego uregulowania konfliktu.

W życiu wewnętrznym Syria realizuje program postępowych reform społecznych i gospodarczych. Tylko czwarta część przemysłu pozostaje tam w rękach prywatnych, realizowana jest reforma rolna. Niedawno uchwalona została nowa konstytucja syryjska, która potwierdza postępowy charakter państwa i oparcie rozwoju gospodarczego na zasadach planowania. Dużą rolę w życiu politycznym odgrywa utworzony przed rokiem Postępowy Front Narodowy, w skład którego oprócz pozostającej przy władzy partii Baas, m. in. wchodzi także Syryjska Partia Komunistyczna.

Wizyta przewodniczącego Rady Państwa PRL w Syrii służyła nie tylko rozwojowi stosunków bilateralnych, lecz również wymianie poglądów na sytuację światową, ze szczególnym uwzględnieniem konfliktu bliskowschodniego.

W. SŁAWSKI

NIE TYLKO CZYSTE NIEBO

Dalszy ciąg ze str. 1

Łodzi natomiast — moim zdaniem — takim problemem była sprawa wody. I słusznie do rozwiązania tej sprawy zaczęto. Słusznie również postępuje się dalej, podejmując w konsekwencji tego budowę wielkiej oczyszczalni ścieków. Ważnym problemem jest przebudowa samego miasta, które powstawało żywiołowo w XIX wieku i nie odpowiada już współczesnym wymaganiom. A więc następnym problemem będzie przebudowa substancji miejskiej, co znów pozwoli podjąć walkę z kolejną plagą wielkich aglomeracji — z hałasem.

— Jakie są tu możliwości?

— Dokonaliśmy naukowego rozpoznania hałasu w całym kraju. Powstały mapy, na których wyznaczyliśmy rejony największego natężenia hałasu. Teraz potrzeba odpowiednich poczynań technicznych. W miastach na przykład będzie to wprowadzenie cichszych środków komunikacji. Niepojęta dla mnie jest likwidacja w Warszawie ostatnich linii trolejbusowych, właśnie tych, które są „najczystsze" pod każdnym względem, bo nie wytwarzają spalin i są najcichsze, bo nie hałasują tak jak tramwaje czy autobusy.

— Trzeba więc szukać „czystych" środków komunikacji miejskiej?

— Tak. Ideałem jest metro.

— Powoli, bo powoli, ale zbliżamy się do momentu „eksplozji motoryzacji". Na ulicach miast będzie pojawiało się coraz więcej samochodów i coraz więcej spalin będzie zatruwać powietrze.

— Myślę, że do tego czasu nauka i technika uczynią niezbędny krok naprzód i dadzą nie tylko urządzenia ograniczające spaliny, ale i rozwiążą problem silnika elektrycznego. To na razie są przypuszczenia. Racjonalnym wyjściem będzie ograniczanie ruchu samochodowego w miastach na korzyść „czystszej" komunikacji miejskiej.

— Samochód pozostanie więc dla turystów, ale aby wyjechać na odpoczynek, trzeba mieć też gdzie. Czy intensywny rozwój przemysłu nie stanowi groźby dla naszego krajobrazu?

— Nie, jeśli inaczej spojrzymy na naturalne bogactwa kraju i za takie uznamy nie tylko to, co znajduje się w ziemi, ale i na ziemi. Poza tym Polska nie jest federacją samodzielnych województw i każde z nich nie musi mieć u siebie wszystkich przemysłów.

Trzeba więc na te sprawy spojrzeć kompleksowo. Mamy województwa, gdzie powinien rozwijać się przemysł, ale mamy i takie, dla których bogactwem naturalnym są walory turystyczne. Wymaga to stosowania odpowiedniego rachunku ekonomicznego, zmiany kryteriów ekonomicznych.

Komitety PAN: „Człowiek i środowisko" i „Przestrzennego Zagospodarowania Kraju" mają już w tej dziedzinie pewne osiągnięcia. Opracowano mapy rejonów chronionych, które stanowią bezcenny skarb dla rozwoju wszelkich form turystyki. Na przykład Mazury i Białostockie. To przecież tereny przyszłej turystyki dewizowej. Wystarczy wnikliwie spojrzeć na aktualną sytuację w Europie. Plaże Belgii są już zamknięte. Wodę morską sprowadza się rurami z głębin morza do basenów. Niebezpiecznie jest kąpać się w wodach Morza Śródziemnego. Jeśli więc dobrze policzyć, to nasze jeziora mogą stać się nieocenionym bogactwem. Z pomocą w tej dziedzinie muszą przyjść zatem ekonomiści.

— A Bałtyk?

— Bałtyk też staje się coraz bardziej brudny. Ujemnie wpływa tu nie tylko przemysł, ale i postępująca chemizacja rolnictwa. Zarówno nawozy sztuczne, jak i wszelkie środki owadobójcze i chwastobójcze są spłukiwane deszczami, spływają do rzek, a następnie do Bałtyku. Zresztą postęp chemizacji rolnictwa to nie tylko problem zanieczyszczania Bałtyku. Część stosowanych w rolnictwie środków chemicznych dostaje się z pokarmami do organizmu człowieka.

— Co zatem robić?

— Dalsza chemizacja rolnictwa jest koniecznością. Nie można jej zaniechać, ale nauka już wie, jakie są uboczne skutki tego procesu. Teraz trzeba odpowiedzieć na pytanie: jak im przeciwdziałać? I na to pytanie nie mamy jeszcze odpowiedzi. Ale nie uzyskamy jej bez ścisłej współpracy specjalistów różnych dziedzin nauki. Z pomocą biologom muszą przyjść na przykład matematycy i cybernetycy.

— Prace nad ochroną środowiska mają więc charakter integracyjny dla nauki polskiej.

— Nie tylko. Powrócę jeszcze do spraw ochrony wód Bałtyku. Nie jest to tylko nasza sprawa. Jej właściwe rozwiązanie wymaga międzynarodowej współpracy. Nie zawsze jednak sytuacja polityczna umożliwia ją. Obecnie powstały dobre warunki dla rozwoju takiej współpracy i na pewno z tych warunków skorzystamy.

— Jak nasze poczynania naukowe w dziedzinie ochrony środowiska oceniane są w innych krajach?

— Mamy na światowej arenie naukowej dość dobrą pozycję. Bierzemy udział w pracach Międzynarodowego Programu Biologicznego UNESCO „Człowiek i biosfera", w ramach którego uczestniczy 25 państw. Nasi naukowcy współpracują przy rozwiązywaniu 4 tak zwanych projektów badawczych, na 13 wszystkich. Nie uczestniczymy w innych tylko dlatego, że dotyczą spraw różnych od naszych warunków klimatycznych i biologicznych, na przykład nie interesują nas zagadnienia ochrony środowiska w okolicach subtropikalnych.

Wybraliśmy więc te zagadnienia, które odpowiadają naszym potrzebom. W ramach programu „Człowiek i biosfera" organizujemy jesienią tego roku — wspólnie z Instytutem Cybernetyki Stosowanej PAN — międzynarodowe sympozjum, poświęcone zagadnieniom stosowania rozwiązań cybernetycznych w modelowaniu poszczególnych problemów środowiska człowieka. W spotkaniu tym będą uczestniczyć matematycy, ekonomiści, ekologowie i cybernetycy. Sądzimy, że tu rzeczywiście możemy wnieść pewien wkład do światowej nauki o środowisku człowieka.

Badania nad środowiskiem człowieka — jak z tego już widać — mają istotnie integracyjne znaczenie dla nauki. Również i dla nauki polskiej. Komitet Organizacyjny II Kongresu Nauki Polskiej zlecił Komitetowi Naukowemu PAN „Człowiek i środowisko" opracowanie materiałów dla potrzeb Kongresu. Problemy ochrony środowiska znajdą się w centrum zainteresowania poszczególnych dziedzin nauki, ale powodzenie w ich rozwiązywaniu zależy od kompleksowego ich potraktowania, od współpracy specjalistów różnych dziedzin nauki.

— Nauka dała już cały szereg odpowiedzi na pytania nurtujące współczesnego człowieka w trosce o jego środowisko, w którym pracuje i żyje. Prowadzi się dalsze badania. Jaki mają one wpływ na praktykę?

— Przykładem mogą być zanieczyszczenia wszelkiego rodzaju. Nauka dokonała rozpoznania i stwierdziła, że większość z nich może być zlikwidowana lub ograniczona przez zastosowanie istniejących rozwiązań technicznych. Jest to już zatem problem nie tyle naukowy, czy nawet techniczny, co ekonomiczny. Proponowane rozwiązania chroniące środowisko człowieka przed zanieczyszczeniami są różne i wymagają nakładów w wysokości do 20 proc. kosztów całej inwestycji. Jest tu zatem niezbędny udział ekonomistów, którzy — przy stosowaniu nowych wskaźników ekonomicznych — odpowiedzieliby na pytanie, co się nam bardziej opłaca: oszczędność pozorna czy troska o ochronę środowiska.

— A jak Pan Profesor ocenia poczynania łódzkich naukowców w badaniach nad ochroną środowiska?

— Nie jestem specjalistą we wszystkich sprawach dotyczących ochrony środowiska człowieka. Przysłuchując się jednak obradom sesji, poświęconej „Ochronie środowiska człowieka w Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej", odnoszę wrażenie, że łódzcy naukowcy robią wszystko, aby wnieść istotny wkład do programu przebudowy i unowocześnienia Łodzi.

Szczególnie zainteresowały mnie badania ekonomistów, którzy do problemu ochrony środowiska człowieka w Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej podeszli w nowy sposób, biorąc pod uwagę nie tylko efekty pieniężne i towarowe, ale przede wszystkim zdrowie człowieka. A przecież wiadomo, że wyniki działalności ludzkiej zależą od postaw, nastrojów i zadowolenia z życia.

— Słyszy się głosy naukowców prorokujących wręcz katastroficzną wizję dla rodzaju ludzkiego. Czy w ocenie naszej przyszłości jest Pan Profesor optymistą czy pesymistą?

— Pesymistami — według mnie — są autorzy słynnego Raportu Klubu Rzymskiego, którzy opracowali katastroficzną diagnozę dla przyszłości człowieka. Nie mają oni wątpliwości, że za 100 lat nastąpi koniec świata. Popełnili jednak w tej diagnozie podstawowy błąd. Po pierwsze — założyli, że przez ten czas nie zmieni się na świecie układ polityczny. Po drugie — że nie dokona się żadnych wynalazków, nie będzie żadnych badań naukowych, które pomogą ludziom w ich kłopotach z cywilizacją. I po trzecie — że przyrost naturalny w krajach rozwijających się będzie postępował nadal bez żadnych ograniczeń. Błąd ich polega na tym, że wizję przyszłości wyprowadzili ze stanu dzisiejszego, że nie założyli żadnego postępu.

Tymczasem na świecie zachodzą kolosalne przeobrażenia polityczne, społeczne i naukowo-techniczne. I to jest szansa dla współczesnego człowieka. Z szansy tej trzeba jednak skorzystać do roku 2 000. Jeśli jej się w tym czasie nie wykorzysta, to istotnie możemy znaleźć się jako ludzkość w dość trudnej sytuacji.

Jak z tego widać jestem umiarkowanym optymistą. Mając na co dzień kontakt z młodym pokoleniem pokładam w nim wielkie nadzieje, widząc, że sprawy te traktuje ono również z moralnego punktu widzenia, rozumiejąc, że jest to sprawa ich przyszłości i ich odpowiedzialności za własne losy i losy przyszłych pokoleń. I to jest też szansa dla świata, szansa, która pozwala mi być optymistą.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Listy do Redakcji

PRZESTRZEGAJMY TERMINÓW

Nasz handel w miarę jak obraca coraz większą „masą towarową" i coraz sprawniej reguluje równowagę rynkową, dba również o nowe formy kontaktów z klientem. Prawdopodobnie ten pęd do nowatorstwa spowodował, że stary i prosty, a zarazem dość skuteczny — i co tam dużo mówić, w praktyce jedyny — sposób kontroli jakości (?) artykułów spożywczych przez kupującego — sprawdzanie terminu ich ważności — został przez handel bardzo gruntownie zmodyfikowany. Więc: termin ważności na opakowaniu artykułu spożywczego (oczywiście jeżeli producent był uprzejmy go w ogóle umieścić!), nie musi oznaczać... terminu ważności! Pojawiło się magiczne hasło „atestat", którym coraz częściej szermują nasi handlowcy. Prawda, że mnie osobiście nie zdarzyło się jeszcze nigdy ujrzeć atestat taki „na własne oczy", mimo, że niemal codziennie zdarza mi się spotkać na półkach sklepów spożywczych przeterminowane artykuły, ale gwoli sprawiedliwości muszę przyznać, że zazwyczaj zapewnia się mnie, że „atestat" (przedłużający termin ważności) jest w biurze, że można pójść tam a tam sprawdzić, itd.

Zdarzyło mi się odwiedzić „Central" (największy w Polsce Spółdzielczy Dom Handlowy), i zastać na półkach działu spożywczego znaczną ilość znakomitej, przeterminowanej margaryny „Vita", oczywiście po cenie „normalnej" — tj. 12 zł. Tuż obok sterta słoików majonezu, również przeterminowanego. Pilnujące uczciwości klientów panie z obsługi nie potrafiły wyjaśnić tego — hm! — zaniedbania (rzecz dziwna, że nie padło hasło „atestat", tylko słowa w rodzaju „co z tego, że ja panu kierownikowi powiem..."), a ponieważ p. kierownik mimo usilnego i dłuższego szukania był nieosiągalny, musiałem wpisać swoje uwagi do książki uwag. Miałem okazję ponownie zawitać do SDH „Central" (największy tego typu w Polsce!), a wkraczając na teren działu spożywczego byłem gotów z każdym zawrzeć zakład, że od dnia poprzedniego z „Vitą" i majonezem nic się tu nie zmieniło. I byłbym zakład przegrał!

W odpowiedzi na moją interpelację u p. kierownika padło obezwładniające hasło „atestat". Że owszem, można obejrzeć w biurze, w sąsiednim budynku. Wpisałem więc ponownie swoje uwagi w przeznaczonym do tego celu (zdawało mi się, że już mocno zapełnionym mimo młodego wieku SDH „Central") zeszycie. Otrzymaną odpowiedź załączam. Z kilku względów zdaje się być ona znamienna dla stylu załatwiania takich spraw przez nasz handel:

1. Nie dotyczy meritum sprawy —

a) „świadectwo jakości" z dnia 4. I. 1973 r. nie może uzasadniać sprzedaży klientom majonezu z terminem ważności 2. I. w dniu 3. I. (bo chyba nikt nie zaprzeczy, że go wówczas też sprzedawano),

b) punkt 2 pisma p. wice-dyrektora nasuwa na myśl znane powiedzenie o kozie i o wozie; przecież nie kwestionowałem jakości margaryny „Vita", jako takiej (gdzież bym śmiał — takie to zdrowe, takie smaczne i takie tanie!), a jedynie podstawy formalne do sprzedawania przez „Central" margaryny przeterminowanej.

2. Forma pisma (zwłaszcza pyszna końcówka!), jest wyrazem skrajnego niezrozumienia istoty zmian inicjowanych od pewnego czasu w naszym handlu „odgórnie", a wprawiających kierowników niższych szczebli aparatu handlu w zakłopotanie, dezorientację. Pseudorzeczowość i różne tanie sztuczki pozorujące zainteresowanie handlu dla spraw poszczególnego klienta — to niestety, często jedyne oznaki „odnowy" w handlu.

Wracając jednak do sprawy terminów ważności. Uważam, że w zasadzie winny być one „sztywne", nienaruszalne. W przeciwnym razie — jaki ich sens, jaka funkcja kontrolna? Przecież terminy te zabezpieczać mają dobro (i zdrowie!) klienta! A fakt, że np. jakiś dom handlowy przeładował swoje magazyny nadmierną ilością margaryny (co u licha z planowaniem?), i że grozi mu strata (???), zdaje się być bardzo wątłą podstawą do liberalizacji rygorów jakościowych towaru, do wystawiania „atestatu". Obawiam się, że w tak zarysowującym się konflikcie handel — klient, broni się mocą autorytetu administracji czyichś interesów, ale nie klienta.

Dalszy ciąg na str. 4

Z HITLEREM przy stole

ALBERT SPEER, architekt z wykształcenia, członek NSDAP od 1931 roku. Mając lat 28 został architektem do osobistych poruczeń Hitlera, a niebawem jednym z najbliższych i najbardziej zaufanych ludzi nazistowskiego dyktatora.

Wkrótce po wybuchu wojny, w 1942 roku został powołany na stanowisko ministra uzbrojenia i amunicji, stając się faktycznym kierownikiem niemieckiej gospodarki wojennej. Dzięki nieprzeciętnym uzdolnieniom organizacyjnym, usprawnił produkcję zbrojeniową III Rzeszy. Ale przecież nie tylko talenty organizacyjne Speera, które bardzo grzecznie podkreśla się tu i ówdzie, zadecydowały o niebywałym wzroście wojennego potencjału b. III Rzeszy. Nie zapominajmy, że dysponował on darmową pracą milionów ludzi, deportowanych z krajów okupowanych i kierowanych do przymusowej pracy w wojennym przemyśle niemieckim.

Speer jest współodpowiedzialny za niesłychany wyzysk i barbarzyńskie traktowanie tej niewolniczej siły roboczej. W 1946 roku Albert Speer stanął przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymerdze, został uznany za zbrodniarza wojennego i skazany na 20 lat więzienia.

Po odbyciu kary, w roku 1966, opublikował pamiętniki pt. „Wspomnienia", które stały się sensacją wydawniczą w krajach zachodnich. Czy pamiętniki Alberta Speera są wyrazem skruchy? Czy są szczere? Trudno coś o tym powiedzieć. Są jednak interesujące ze względu na próbę charakterystyki zbrodniczej kamarylli Hitlera, jak również charakterystyki samego führera b. III Rzeszy, rzuconych na tło stosunków, panujących w hitlerowskich Niemczech.

Obok publikujemy pierwszy fragment ze „Wspomnień" A. Speera.

Około czterdziestu czy pięćdziesięciu osób mogło bywać na obiedzie u Hitlera w Kancelarii Rzeszy. Na ogół chodziło o gauleiterów, członków kierownictwa partii, niektórych ministrów i niektórych biskupów Hitlera.

Schmundt, adiutant Hitlera, wielokrotnie namawiał go do zaproszenia na obiad dowódców wojskowych, ale Hitler zawsze odmawiał. Być może spodziewał się ze strony wojskowych lekceważących uwag o swoich dawnych współpracownikach. W domu Hitlera nie było zwyczaju używania zwrotu „Heil Hitler", który gdzie indziej był obowiązkowy. Zwykłe „dzień dobry" było o wiele częstsze. Nie było tu również zwyczaju przypinania do klapy marynarki odznaki partyjnej i widziało się stosunkowo niewiele mundurów.

Hitler przychodził na posiłek z suwerenną niepunktualnością. Obiad zaczynał się o drugiej, ale często dopiero o trzeciej, czy nawet później, pojawiał się Hitler, niekiedy z prywatnego mieszkania o piętro wyżej, częściej jednak wprost z konferencji w Kancelarii Rzeszy. Wchodził do salonu dyskretnie, jak osoba prywatna. Witał swoich gości uściskiem dłoni, wypowiadał swój pogląd na taką czy inną aktualną sprawę; niektórych uprzywilejowanych zapytywał, często w sposób bezosobowy, o zdrowie małżonki. Często prosił szefa biura prasowego o przegląd ostatnich wiadomości, siadał z boku w fotelu i zaczynał czytać.

Jeszcze piętnaście czy dwadzieścia minut goście czekali stojąc, nim nie odsłonięto zasłony, która kryła oszklone drzwi, prowadzące do jadalni. Intendent zawiadamiał Hitlera w bezpośredni, domowy sposób, że obiad jest podany. Fuehrer wchodził pierwszy.

Obiad bywał skromny. Podawano zupę, mięso z jarzynami, a na koniec deser. Do picia była woda mineralna, piwo w butelkach i tanie wina. Hitlerowi podawano posiłek bezmięsny i jego ulubioną wodę mineralną z Fachingen. Niewielu gości naśladowało go. Hitler osobiście dbał o skromność posiłków; mógł być pewny, że całe Niemcy będą o tym poinformowane. Goering rzadko bywał na tych obiadach. Pewnego razu powiedział mi:

„szczerze mówiąc, myślę, że jedzenie tam jest okropne. A poza tym ci działacze monachijscy są tak nieznośnie drobnomieszczańscy".

Gdy na wezwanie partii, w niedziele, we wszystkich domach niemieckich zaczęto podawać tylko jedno danie, by Niemcy mogły zamieniać „masło na armaty", również i tutaj na obiad podawano tylko zupę. Wówczas liczba gości zmniejszyła się znacznie, co pozwalało Hitlerowi na sarkastyczne uwagi o skłonności do poświęceń, cechującej jego współpracowników.

Największe zainteresowanie wzbudzał Goebbels. Himmler zjawiał się rzadko. Bormann nie opuszczał ani jednego obiadu, ale, należąc, tak jak i ja, do otoczenia Hitlera, nie uchodził za gościa. Wypowiedzi Hitlera przy stole ograniczały się do niewielu tematów. Cechowała je zdumiewająca ograniczoność i niezwykłe uprzedzenie w ocenie rzeczy i ludzi. Hitler bardzo często powtarzał się. Jego osobowość fascynowała mnie wówczas, a mimo to jego wypowiedzi nie robiły na mnie wrażenia. Byłem raczej rozczarowany, oczekując sądów i opinii na wyższym poziomie.

Hitler często powtarzał w swych monologach, że jego poglądy polityczne, wojskowe i estetyczne tworzyły jednolitą całość i wykształciły się ostatecznie między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. Twierdził, że ten okres jego życia był najbardziej owocny pod względem intelektualnym. Późniejsze plany i działania były jedynie realizacją idei, poczętych w tym czasie. Wspomnienia przeżyć z okresu I wojny światowej były najczęstszym tematem rozmów, gdyż większość z obecnych na obiadach brała w niej udział. Podczas wojny Hitler walczył z Anglikami. Twierdził, że szanuje ich za odwagę i wytrwałość, choć wyśmiewał ich zwyczaje. Opowiadał, że mieli zwyczaj przerywać ogień, gdy nadchodziła pora picia herbaty i wtedy mógł spokojnie roznosić rozkazy.

W 1938 roku nie słyszeliśmy nigdy, aby mówił wrogo o Francuzach. Nie chciał prowadzić z nimi wojny, uważając, że ten pas ziemi bez znaczenia, jakim były Alzacja i Lotaryngia, nie zasługuje na wojnę. Ponadto, jak utrzymywał, Alzatczycy już tyle razy zmienili przynależność państwową i stali się tak chwiejni, iż żadna z obu stron nie zyska na przyłączeniu Alzacji. Najlepiej byłoby więc zostawić ich tam, gdzie byli. Oczywiście Hitler wychodził z założenia, że Niemcy mogą zdobyć nowe ziemie na wschodzie. Odwaga żołnierzy francuskich w czasie I wojny wywarła na nim duże wrażenie, ale ich oficerów uważał za zniewieściałych, utrzymując, że „z niemieckimi oficerami Francuzi mieliby armię najlepszą na świecie". Choć kwestia sojuszu z Japonią wysuwała problemy, wiążące się z teorią ras, Hitler nie wyrzekał się tego sojuszu, odkładając wiążące decyzje na przyszłość. Zawsze, gdy zaczynał mówić na ten temat, dawał wyraz swemu niezadowoleniu, że musiał zawrzeć sojusz z żółtą rasą. Przypominał jednak, że Anglia sprzymierzyła się z Japonią przeciwko mocarstwom Europy Środkowej. Co do Amerykanów, którzy, według niego, nie odegrali wybitniejszej roli w czasie wojny w latach 1914—1918 i nie przelali wiele krwi, wyrażał opinie, że nie mogliby walczyć zbyt długo, bo byli lichymi żołnierzami. W każdym razie — twierdził — nie istniał zwarty i jednolity naród amerykański, a jedynie masa imigrantów, złożona z wielkiej liczby narodowości i ras.

Nikt z biesiadników nie znał obcych krajów. Gdy któryś z nich wybrał się dla przyjemności do Włoch, to przy stole mówiono o tym, jak o jakimś wydarzeniu, uznając go za światowca. Sam Hitler nie znał zagranicy i nie miał na ten temat żadnego poglądu. Ponadto ludzie z jego otoczenia na ogół nie byli wykształceni. Wśród 50 gauleiterów i reichsleiterów, to jest elity rządzącej Rzeszą, zaledwie 10 ukończyło studia wyższe, kilku je przerwało, ale większość nie miała nawet średniego wykształcenia. Niemal żaden z nich nie wykazał się w jakiejkolwiek dziedzinie, natomiast niemal wszyscy wykazywali zdumiewającą obojętność dla spraw kultury. Hitler w gruncie rzeczy wolał, aby jego otoczenie składało się z ludzi pochodzących z tego samego środowiska, co i on. Prawdopodobnie czuł się wśród nich najswobodniej, w każdym razie lubił, aby jego współpracownicy mieli, jak się mówiło, haczyk w życiorysie. Gauleiter Hanke powiedział mi kiedyś: „Zawsze lepiej jest mieć współpracowników, którzy mają coś na sumieniu i którzy wiedzą, że przełożony dobrze o tym wie. To właśnie dlatego „Fuehrer tak rzadko zmienia współpracowników, bo z takimi pracuje mu się najlepiej. Prawie wszyscy mają jakieś grzechy, to pozwala mu trzymać ich na smyczy". Swoista amoralność. Odlegli żydowscy przodkowie lub krótka przynależność do partii, mogły, na przykład, stanowić ów „haczyk w życiorysie".

Hitler często rozwodził się nad błędem, jakim było szerzenie za granicą idei narodowego socjalizmu. Według niego, mogło to doprowadzić jedynie do umocnienia idei narodowej w innych krajach i osłabienia naszej własnej pozycji. Dlatego cieszył się stwierdzając, że partie narodowo-socjalistyczne w innych krajach nie miały przywódców, którzy by mu dorównywali. Mussert w Holandii, czy Mosley w Anglii byli w jego oczach jedynie naśladowcami, którzy nie mieli żadnej nowej, czy oryginalnej idei. W każdym kraju należało, według niego, wyjść z odmiennych założeń, aby ukształtować własne metody.

Politykę Hitler uzależniał od okoliczności. Nawet jego wyznanie wiary, „Mein Kampf", podlegało tej zasadzie. Twierdził przecież, że sporo rzeczy w jego książce nie było już aktualnych i że nie powinien tak wcześnie zapisywać swych rozważań. Uwaga ta skłoniła mnie do zaprzestania daremnych prób przeczytania tej książki. Gdy po zdobyciu władzy ideologia przeszła na dalszy plan, zwłaszcza Goebbels i Bormann zwalczali mieszczanienie i rozcieńczanie się programu partii. Usiłowali wpływać na radykalizowanie ideologii Hitlera. Sądząc według jego przemówień, również Ley należał do kręgu twardych ideologów, ale nie miał dostatecznego znaczenia, aby wywierać na to istotny wpływ. Himmler natomiast szedł swą własną drogą, łącząc w groteskowy sposób wiarę w pierwotną rasę germańską z koncepcją elity i powrotu do natury, przedstawiając to wszystko w pretensjonalnych i pseudoreligijnych formach. Poza Hitlerem, głównie Goebbels wyśmiewał te wysiłki Himmlera. Otrzymawszy w prezencie od Japończyków szablę samuraja, odkrył np. więź między religią germańską i japońską i próbował przy pomocy swych uczonych doszukać się tych analogii również na gruncie rasowym...

(c.d.n.)

Listy do Redakcji

Dalszy ciąg ze str. 3

I jeszcze jedno spostrzeżenie z tej dziedziny: zdarzyło mi się (krótko po opisanym incydencie) ujrzeć na półkach stoiska spożywczego „Magdy" dużą ilość masła po cenie zniżonej (bodaj 16 zł za kostkę), bo przeterminowanego o kilka dni! Innym razem zdarzyło mi się kupić po zniżonej cenie kilka paczek kawy „Super" (okazja!) tylko dlatego, że jej termin ważności minął kilka dni wcześniej! Pewnie w świetle omówionych na początku praktyk postępowania dwóch ostatnich punktów sprzedaży wypadałoby ocenić jako... skrajnie naiwne (czyt. uczciwe).

Aż strach pomyśleć co będzie gdy nasz handel usprawnienie „atestowe" rozszerzy np. na nazwy produktów spożywczych! Kupisz puszkę z etykietą „Byczki w sosie pomidorowym", a w środku zastaniesz „Kałamarnice w sosie własnym" — co oczywiście będzie uzasadnione odpowiednim atestatem znajdującym się gdzieś, tam, w biurze...

HENRYK SUŁKOWSKI
(Łódź)

„NOŻYCZKI NIE WEZMĄ!"

Nawiązując do felietonu Ćwieka pt. „Nożyczki nie wezmą" zamieszczonym w „Odgłosach" nr 795 z 11.II. 1973 r., Dyrekcja MHD Artykułami Chemicznymi i Gospodarstwa Domowego wyjaśnia, co następuje:

Zgodnie z warunkami technicznymi obowiązującymi w ramach obróbki płyt unilam dotyczącymi ich cięcia, frezowania, rozwiercania, szlifowania, czynności powyższe należy zmienić narzędziami używanymi przy obróbce stali.

Operacja cięcia może być dokonywana w sposób ręczny przy użyciu piłki do cięcia metalu, ale praktycznie jest to czynność bardzo pracochłonna, głośna, a ponadto w związku z minimalną szybkością posuwu ręcznego płyta narażona jest na pękanie wierzchniej warstwy wykonanej ze specjalnego importowanego papieru.

W celu uniknięcia powyższych mankamentów konieczne jest więc cięcie mechaniczne stosowane przy użyciu pił taśmowych lub tarczowych, wykonanych ze stali szybkotnącej o szybkości cięcia 2000—3000 obr./min. Instalowanie urządzeń mechanicznych w sklepach detalicznych lub na ich zapleczu doprowadziłoby do sytuacji bardzo niekorzystnej z punktu widzenia kultury obsługi klientów, gdyż nabywcy oraz lokatorzy danej posesji nie pogodziliby się z głośną pracą urządzeń, które praktycznie stosowane są w zakładach produkcyjnych. Dyrekcja przedsiębiorstwa, zdając sobie sprawę z faktu, iż prowadzenie usług polegających na cięciu płyt unilam jest niemożliwe przy wykorzystaniu własnych placówek detalicznych, nawiązała kontakt z Okręgowym Przedsiębiorstwem Przemysłu Drzewnego ul. Zachodnia 105, które prowadzi specjalistyczny sklep przy al. 1 Maja 42. Sklep ten, posiadający jednocześnie stolarnię, prowadzi omawiane usługi, ale wyłącznie z zastosowaniem materiału, który jest zakupiony przez klienta w tym sklepie.

Niestety, sprawa w perspektywie czasu nie wydaje się być rozwiązana i w tym przypadku, gdyż jak nam oświadczono, okoliczni lokatorzy nie mogą pogodzić się z hałasem dobiegającym ze stolarni dokonującej obróbki płyt.

Okręgowe Przedsiębiorstwo Przemysłu Drzewnego aktualnie stara się więc o lokal wolnostojący, gdzie prowadzenie usług polegających na cięciu płyt unilam będzie przebiegało bez zakłócania spokoju okolicznych mieszkańców.

Niezależnie od powyższego, w celu zapewnienia rzeczowej informacji zainteresowanym klientom, właściwe sklepy naszego przedsiębiorstwa zostaną zaopatrzone w wywieszki informacyjne, gdzie w treści będzie podany adres sklepu specjalistycznego, o którym mowa w niniejszym wyjaśnieniu.

mgr JERZY ROKOSZEWSKI
(zastępca dyrektora)

WIADOMOŚCI Z BUSZU

Krystynie Jagiełło bardzo nie spodobało się w Łodzi. Dała temu wyraz w napisanym z niezwykłą dezanwolturą artykule pt. „Sztuka owijana w bawełnę" („Literatura" nr 4 z dn. 25.I. 73 r.). Trudno nawet się dziwić — Łódź w styczniowym deszczu nie wygląda sympatycznie i może wprawić w zły nastrój stołecznego dziennikarza przybywającego tu na dzień — dwa z zamiarem zebrania wyczerpujących materiałów do reportażu na temat życia kulturalnego podwarszawskiego ośrodka przemysłowego. Rzecz w tym, że owe nastroje nie powinny mieć zasadniczego wpływu na konstruowanie nadrzędnej tezy, do której a posteriori przystosuje się fakty. Przynajmniej tak by się wydawało. Odrobina rzetelności dziennikarskiej i lojalności wobec rozmówców mogłaby sprawić, że opublikowane w warszawskiej „Literaturze" „wiadomości z buszu" utraciłyby charakter subiektywnych impresji z egzotycznej podróży.

Dziennikarka podjęła zadanie ambitne i zakrojone na szeroką skalę — przedstawić obraz życia kulturalnego miasta, w którym problemy te są szczególnie trudne i skomplikowane. Ale od czegóż śmiałe uogólnienia. Kultura? A więc: teatry, kina, muzeum, filharmonia, Wytwórnia Filmów Fabularnych i — jak sama nazwa wskazuje — domy kultury. Trasa wyznaczona, przystępujemy do rozmów. I mówią owi pracownicy kultury o swoich trudnościach, kłopotach, osiągnięciach, o podejmowanych systematycznie akcjach popularyzacji sztuki, muzyki, teatru. Na ogół rozmowy te nie są dla dziennikarki ciekawe — zacytujmy:

„Słowa, które dają świadectwo, że tutaj nikt nie zapomina, dla kogo „robi się kulturę", brzmią wprawdzie nieraz zabawnie i naiwnie, ale świadczą o klimacie tego miasta".

Tak więc z rozmów tych zostają wypreparowane wyłącznie elementy „spektakularne", efektowne, mówiące o egzotyce łódzkiego „buszu". Oto na przykład monolog dyspozytora z Wytwórni Filmów Fabularnych, który miał zaszczyt oprowadzać dziennikarkę, monolog wyrażający „gniew klasowy" z powodu marnowanych w filmie milionów i luksusów otaczających zatrudnionych tu aktorów. („Ja to nieraz mówię: weźmy się za bawełnę, albo za węgiel, bo nam z tym filmem nie wychodzi"). Oto publiczność opuszczająca salę filharmonii po koncercie Auera bez czekania na bisy. Oto działaczka domu kultury narzekająca na to, że „domy kultury nastawione są głównie na instruktaż oraz wielką działalność propagandowo-polityczną". Oto inni pracownicy tych placówek „sparaliżowani" strachem przed wynikami konkursów i festiwali. Oto kierownik literacki Teatru im. Stefana Jaracza mówiący ze smutkiem o sukcesie „Trędowatej".

Nad tą ostatnią sprawą pozwolę sobie zatrzymać się nieco dłużej, bowiem kwestia dotyczy mnie osobiście i teatru, w którym pracuję, a także dlatego, że tekst Krystyny Jagiełło we fragmentach poświęconych Teatrowi im. Stefana Jaracza został podchwycony przez prasę ogólnopolską oraz łódzką i bardzo nieprzychylnie dla teatru skomentowany.

Autorka „Sztuki owijanej w bawełnę" z żelazną konsekwencją — widoczną w całym artykule — wykorzystała wyłącznie te informacje o teatrze, które mogły mieć posmaczek sensacji, pominęła natomiast to wszystko, co mieści się w tzw. normie — codzienną pracę teatru, jego artystyczne osiągnięcia, próby nawiązania ściślejszego kontaktu z robotniczą widownią Łodzi (Wszechnica Teatralna) i młodzieżą studencką (Premiery Studenckie i spotkania dyskusyjne). Zafrapowało dziennikarkę jedynie zjawisko — „Trędowata" i ono przesłoniło wszystko, co miałaby do powiedzenia na temat teatrów w Łodzi. Tu jednak trzeba coś wyjaśnić — „Trędowata" grana jest na scenie „7.15", scenie o bardzo konkretnym i ustalonym tradycją miasta, typowo rozrywkowym charakterze. Wystawiliśmy adaptację tej legendarnej powieści trochę dla żartu, trochę dla zweryfikowania podań o żywotności mitu Mniszkówny. Powodzenie spektaklu przerosło nasze najśmielsze oczekiwania i stało się zjawiskiem godnym wnikliwych badań socjologicznych. I nie jest to aż tak bardzo proste, jak się wydaje komentatorom.

W każdym razie sprowadzanie problemów kultury w mieście do efektownej tezy o drastycznej niespójności pracy placówek kulturalnych z zapotrzebowaniami robotniczej Łodzi jest co najmniej świadectwem myślenia uproszczonego.

Niestety Krystyna Jagiełło nie miała już czasu zainteresować się pracą innych teatrów dramatycznych Łodzi, pomija ich istnienie absolutnym milczeniem. Może np. rozmowa z kierownikiem literackim Teatru Nowego p. Krystyną Bobrowską (na spotkanie to bardzo p. Jagiełło namawiałam), która od lat i z wielkimi sukcesami prowadzi akcje popularyzacji teatru w Łodzi, nie pozwoliłaby na tak niedorzecznie niesprawiedliwe sformułowanie, jak to, którym autorka artykułu rozpoczyna partię tekstu poświęconą jedynemu przykładowi pozytywnemu — Muzeum Sztuki:

„A jednak są w Łodzi placówki kulturalne, które nie tylko nie rezygnują z walki o szerokiego odbiorcę, ale nawet odnoszą w tej dziedzinie pewne sukcesy".

Nie kwestionując zasług Muzeum, ośmielam się zaryzykować twierdzenie, że jest w Łodzi takich placówek dużo i że należą też do nich teatry. „Nie rezygnujemy" i „robimy tę kulturę" z nadzieją na pewne" (w znaczeniu „jakieś") sukcesy.

Na tym zakończę mój „głos z buszu", z konieczności ograniczony do paru tylko kwestii. Może inni bohaterowie „reportażu" Krystyny Jagiełło zechcą go uzupełnić.

TERESA WORONO
(Kierownik literacki Teatru im. S. Jaracza)

OD REDAKCJI: Nasze stanowisko w tej sprawie mieliśmy już okazję prezentować Czytelnikom.

CONRAD

Miłośnicy twórczości Josepha Conrada nie mają ostatnio powodów do narzekań. Ukazały się bowiem interesujące publikacje, które nie tylko ułatwią zrozumienie jego dzieł, ale przede wszystkim przybliżają sylwetkę autora „Lorda Jima". Myślę tutaj o książce Andrzeja Brauna „Śladami Conrada" i o pozostającej może nieco w cieniu tamtej — książce „Wschodni świat Conrada". Jej autor — Norman Sherry, długoletni wykładowca języka angielskiego na uniwersytecie w Singapurze, zdecydował się podjąć żmudną pracę nad tropieniem źródeł inspiracji takich dzieł Conrada, jak, „Lord Jim", „Smuga cienia" i „Tajemny wspólnik", a więc tych, które powstały dzięki kontaktom pisarza ze Wschodem w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to Conrad był marynarzem. Norman Sherry przewertował stare rejestry morskie, dzienniki okrętowe, stare gazety w poszukiwaniu czasem króciutkich informacji, nazwisk, ciekawych wydarzeń morskich, które Conrad skrupulatnie wykorzystywał w swoich utworach. „Wschodni świat Conrada", to niezwykle interesujące studium o źródłach „wschodnich" powieści Conrada. Książka, która poza wieloma interesującymi faktami i realiami malajskimi, pokazuje Conrada, który sam się przyznawał: „...życie moje nie było awanturnicze... Nie wiem nic poza tym czego dowiaduję się od innych. Wszystkiego muszę się domyślać".

Norman Sherry „Wschodni świat Conrada". Wyd. Morskie, Gdańsk 1972, str. 349, cena 40 zł.

DALEKO DO ZIEMI

Literatura kryminalna ma juz swoją klasykę. Czy tak samo jest z literaturą fantastyczną? Można tu wymienić powieści fantastyczne Juliusza Verne czy naszego Władysława Umińskiego, a ze współczesnych — Stanisława Lema. Ale i tu — jak w literaturze kryminalnej — obok książek znakomitych zdarzają się też pozycje chybione. W literaturze kryminalnej niezbędna jest logicznie zbudowana intryga, skomplikowana zagadka. Inaczej w literaturze fantastycznej. Tu trzeba oderwać się od Ziemi, aby wymyślić nowe cywilizacje, opierając je na przesłankach, nie będących w sprzeczności z przewidywanym rozwojem nauki.

Bohdanowi Peteckiemu w „Strefach zerowych" udał się ten zabieg. Książkę tę można z całym spokojem polecić wszystkim tym, którzy pasjonują się tego typu literaturą. Znajdą tu przygody dziejące się zarówno na Ziemi, jak i w przestrzeniach Kosmosu. Autor gwarantuje Czytelnikowi spotkania z nieznanymi cywilizacjami, a czyni to w sposób wielce przekonywający. Ziemianie spotykają się bowiem z wytworami obcych cywilizacji, nie spotykając ich przedstawicieli.

Największy sukces książki stanowi jej główny bohater a zarazem narrator. Jest to mocny człowiek, bardzo nam współczesny zarówno sposobem myślenia, jak i postępowania. W przyszłym świecie, gdzie dzieje się akcja „Stref zerowych" takich ludzi pozostało zaledwie tysiąc. Przeznaczono ich do specjalnych celów, do wykonywania zadań, którym nie potrafią już podołać zniewieścieli Ziemianie.

Jak sobie radzą? O tym trzeba przekonać się samemu, a zapewniam, że będzie to interesująca i pasjonująca lektura.

Bohdan Petecki, „Strefy zerowe", Iskry, Warszawa 1972, str. 269, cena: 14 zł.

„DZIEDZICTWO NIEODPARTE"

Pod tym nie najszczęśliwszym polskim tytułem ukazała się nakładem „Czytelnika" powieść Johna Hunta, pisarza amerykańskiego, który od kilkunastu lat mieszka w Paryżu. „Dziedzictwo nieodparte", to druga powieść Johna Hunta. Jej akcja toczy się w miasteczku Grey Horse w Oklahomie, w latach dwudziestych naszego wieku. Bohater — młody adwokat Andrews Thayer przyjeżdża, aby prowadzić skomplikowane śledztwo w sprawie serii tajemniczych morderstw, popełnianych wśród indiańskiej rodziny Czerwonych Jastrzębi z plemienia Czetopów.

Grey Horse przeżywa okres wprost niezwykłej prosperity — na terenach należących do Czerwonych Jastrzębi odkryto złoża nafty. Miasteczko dosłownie i w przenośni opływa w naftę i dolary. Niespodziewane bogactwo rozbudza wśród niektórych mieszkańców żądzę mordu. Tragiczne losy rodziny Czerwonych Jastrzębi są głównym wątkiem powieści, która w niezwykle sugestywny sposób przedstawia obraz Dzikiego Zachodu po latach.

John Hunt „Dziedzictwo nieodparte", Czytelnik, Warszawa, 1972, cena 33 zł.

II RZECZPOSPOLITA

„Taka jest naturalna kolej rzeczy. Historia jest nieustannym dialogiem z przeszłością" — słowa te napisał we wstępie do swojej książki Marian Marek Drozdowski — historyk młodego pokolenia, jeden z tych naukowców, którzy chętnie publikują swoje prace na łamach czasopism. Jego ostatnia książka — „Społeczeństwo, państwo, politycy II Rzeczypospolitej", jest zbiorem tekstów naukowych przygotowywanych na seminaria naukowe, uzupełnionym recenzjami i artykułami publicystycznymi.

Pisać o czasach II Rzeczypospolitej nie jest łatwo, gdyż są wśród nas jeszcze ludzie, którzy pamiętają tamte lata. Ich wyobrażenia o okresie miedzywojennym, zachowane w pamięci, a składające się z własnych przeżyć i popularnych opinii, mogą pozostawać w sprzeczności z naukowym spojrzeniem. Nie może to jednak hamować badań naukowych nad losami II Rzeczypospolitej. I takie prace coraz częściej podejmują naukowcy, publikując ich wyniki.

Książka Mariana Marka Drozdowskiego jest jedną z nich i niewątpliwie zainteresuje wielu czytelników. Omawia ona problemy społeczne i polityczne, prezentuje konflikty społeczne i polityczne tamtego okresu, a także omawia postawy i poczynania ludzi II Rzeczypospolitej. Rozdział książki, zatytułowany „Osoby dramatu" wzbudzi niewątpliwie największe zainteresowanie czytelnika. Znajdzie on tam interesujące uwagi o Józefie Piłsudskim, Wincentym Witosie, Edwardzie Rydzu Śmigłym, Stefanie Starzyńskim, Marii Koszutskiej i Adolfie Warskim.

B. M.

Marian Marek Drozdowski, „Społeczeństwo, Państwo, Politycy II Rzeczypospolitej", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, str. 404, cena: 55 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

B. Seidler „Skłóceni z prawem", Wyd. Literackie, cena 40 zł.
R. Albert „Dramaty", Wyd. Literackie, cena 40 zł.
A. Ostrowski „Hrabia Kamil Cavour", PIW, cena 60 zł,
„W błękicie kształt swój odmalować" (antologia współczesnej poezji austriackiej), Wyd. Poznańskie, cena 35 zł.

„Współczesność obłędna jest". Boję się, że przez to stwierdzenie trudno będzie się przebić. Jest to jedna z tych genialnych konstatacji słownych, które zdarzają się raz na wiele pokoleń, osiadają w świadomości społecznej, drążą ją w sposób nieustanny i pozostają w niej na zawsze; są motywem przewodnim epoki, jej niepokojem twórczym. Wyprzedzają one swój czas, ale jednocześnie — o paradoksie — są w pewien sposób zachowawcze: trzeba bowiem następnego rozkwitu jakiejś wybitnej umysłowości ludzkiej, by od jej błysku świadomość człowieka mogła się osiedlić w czymś podobnie wielkim i trwałym. Gdzie są granice tych intelektualnych odkryć? — strach pomyśleć.

Skłonny jestem jednak sądzić, że granice te nie istnieją. Ktoś w swoim czasie zauważył, że „wszystko płynie", ktoś rozpoczął nową formację intelektualną od stwierdzenia: „myślę — więc jestem", a teraz ktoś rzucił świat na kolana lakoniczną konkluzją: „współczesność obłędna jest". Trzeba znać historię ludzkiej myśli. Ale trzeba też wypracować w sobie miary bezwzględne, ostateczne i od myśli największych rozpoczynać nową erę w rozwoju myślącej ludzkości. Zapomnijmy o tamtych — jakże tanich i powierzchownych — aforyzmach, niech od niedzieli **11 lutego 1973 roku** towarzyszy nam Nowe: „współczesność obłędna jest". Słowa te, wyśpiewane przez aktora, który sam nie wiedział, że się unieśmiertelnił, padły **w audycji rozrywkowej Telewizji Łódzkiej** i są niewątpliwie autorstwa **Ryszarda Czubaczyńskiego** lub **Wiesława Machejki.** Nie bałbym się tu faktu, że dziś jeszcze nie możemy precyzyjnie ustalić, ich aktora; słowa te weszły w krwioobieg intelektualny naszego społeczeństwa (Telewizja jak zwykle nie zadbała o ich szerszy rezonans, o wejście na antenę Interwizji) i staną się przedmiotem licznych komentarzy naukowych, w trakcie których autor skromnie się ujawni.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Współczesność obłędna jest — czyli przodem do przodu

Słowom wielkim potrzebny jest blask, asysta, świta — inaczej giną niczym perły na dnie morza. Thomas Sterns Eliot, jeden z poetów niesłusznie uważanych za wielkich (niesłusznie — w kontekście audycji, o której mowa) miał kilka niezłych kawałków w „Czterech kwartetach" czy w „Ziemi Jałowej" — utopił je jednak w powodzi słów. Czymże jednak są te sezonowe sukcesy wobec potężnej dawki prawdziwej, głęboko ludzkiej i niezbędnej człowiekowi poezji tak nonszalancko, tak hojnie rzuconej nam w ten niezapomniany, niedzielny wieczór 11 lutego 1973 r.?

Dopiero w tej masie, w różnorodności, w olśniewających błyskach innych konstelacji słownych — tamta konstatacja jawi nam się w pełnej krasie: „współczesność obłędna jest".

Zawsze dotąd uważałem, że umysł ludzki jest zawodny. Tak, ale tylko umysł nastawiony na odbiór, a nie intelekt twórczy. Intelekt twórczy jest — jak to dziś widzę — niepohamowany.

„Tylko taką piosenkę znam,
Więc jaką z nią szansę mam" —

piszą autorzy tekstów. I jakby nie dość im było tego wersetu, którego nie sposób przecenić, dodają jeszcze:

„Czy muszę zdobyć świat,
Gdy tylko ciebie mi brak".

Wielkość umysłu — myślę sobie — jest równoznaczna z niepodległością wobec zastanych wzorów, w tym wypadku twórczych. Koronną myślą łódzkich programów rozrywkowych była już od dawna ich bezmyślność. Nie zapominajmy jednak, że wbrew pozorom bezmyślność może być potężną ideą porządkującą. I tak jest. W programie sławnej lutowej niedzieli ta idea artystyczna znalazła swe apogeum. Autorzy tekstów odwrócili się tyłem do zastanych formacji intelektualnych i doświadczeń twórczych; w praktyce zrealizowali dumne i jedynie słuszne hasło; artystyczne: „przodem do przodu". Ale — „przodem do przodu" nie na żywioł, nie w kierunku ślepego, nie obciążonego wiedzą o przeszłości nowatorstwa.

Autorzy wiedzą o doświadczeniach poezji anglo-amerykańskiej, przetrawili Jesienina i Błoka, w pieluchach poznali awangardę i prądy 20-lecia międzywojennego, nie obce im są dokonania współczesności. A mimo to, mimo tych obciążeń, oderwali się od przeszłości.

„Kolorowy jest ten świat,
Żółty, czarny. Dmucha wiatr" —

piszą i mają rację. Dmucha wiatr, zastały, stęchły, dmucha w ich młode, ale świadome oblicza, a Oni mimo to — torują drogę Nowej Twórczości.

„Kiedy ty go ściskasz czule,
On nie pyta o koszulę"!

albo

„Rozeto ma, ja przyrzekam Ci
Że już zaufać możesz mi".

lub:

„Popatrz, Boże, jakie miny
Robią do mnie te dziewczyny".

czy później:

„Chwytaj mnie.
Wpadłeś już —
Albo nie...".

Cisną mi się na usta słowa, których się wstydzę. Chciałbym na fali poezji tak szczerze nam rzuconej przez pp. **Ryszarda Czubaczyńskiego** i **Wiesława Machejkę** popłynąć gdzieś dalej, hen, w zaczarowany świat ich wyobraźni, precyzji intelektualnej i dyskretnego wdzięku. I czasem wydaje mi się to możliwe, wtedy

„Gdym ja pił Liptona"

albo wtedy, kiedy

„Zabawa była na sto dwa,
Aż tańczył nawet ster".

Ale wkrótce to złudzenie mija. Nie popłynę. Nie mam tych skrzydeł. Czyli płetw.

Mogę tylko powiedzieć, że są to teksty-pomniki, teksty-monumenty. I wspominać:

„Na łowach rzecz ta się stała,
Gdym na tygrysa chęć miał".

Lub bez końca rozważać niepowtarzalną polszczyznę sformułowania:

„Dziewczyny moje, by opisać
Brak mi na to sił".

Więc na zakończenie — tylko jedna uwaga — błaganie: czy Twórcy nie wyprzedzili epoki zbyt daleko? Czy nie zaadresowali swojej poezji do publiczności — jak Joyce — XXII wieku?

Wiem, to niskie. Prawda jest taka: nie mamy prawa zabraniać twórcom, aby wyprzedzali swą epokę. Przodem do przodu.

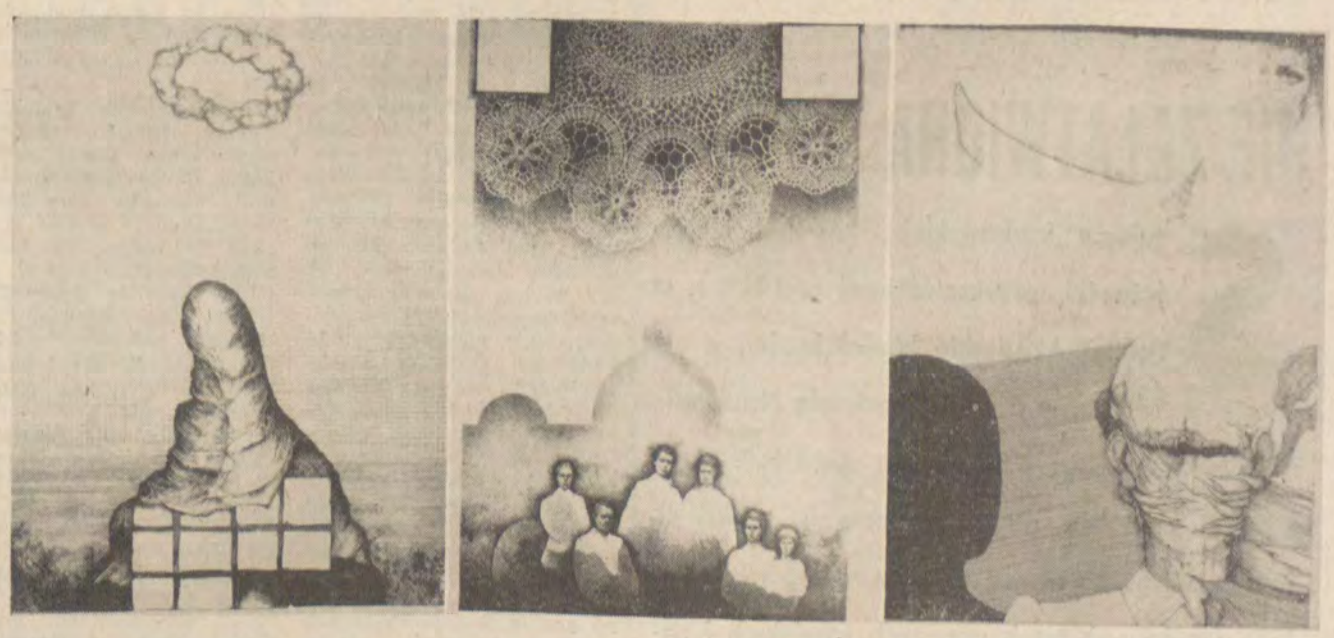

ANDRZEJ KABAŁA, LITOGRAFIE

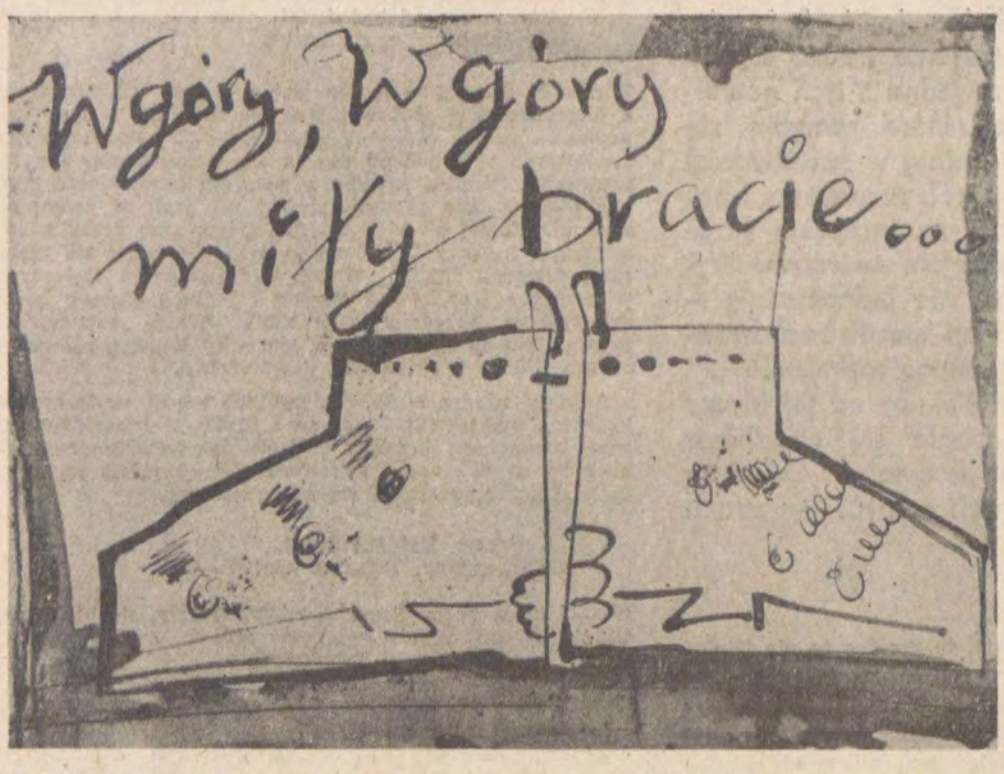

Jeśli na urlop — to tylko w góry. Jeśli w góry — to tylko na narty. Jeśli na narty — to tylko do miejscowości położonych w **Kotlinie Kłodzkiej**, u stóp Śnieżnika. Znajdują się tam tereny narciarskie o różnorodnych stopniach trudności — strome zbocza, gruba i trwała pokrywa śnieżna. Nocować można w hotelu **„Śnieżnik", pl. Wolności nr 5, tel. 376 w Bystrzycy Kłodzkiej.** Wypożyczalnia sprzętu turystycznego mieści się przy ul. Kusocińskiego i czynna jest w godzinach 8—16; wypożycza narty, buty narciarskie i skafandry.

* * *

CIEPLICE. W granicach miasta i w najbliższej okolicy dziesiątki dobrych terenów narciarskich i tras zjazdowych o różnych stopniach trudności. Piękne pola slalomowe. Baza noclegowa: **hotel „Europa" tel. 544-53, hotel „Cieplice" tel. 510-41.**

* * *

DUSZNIKI-ZDRÓJ. Stacja klimatyczna, ośrodek turystyczny i uzdrowisko między Górami Orlickimi a Bystrzyckimi. Klimat hartujący. Wysokość 450—500 n. p. m. Dobra baza dla stacjonarnego i wycieczkowego pobytu. Urządzenia turystyczno-sportowe, tor saneczkowy długości 1100 m, spod schroniska **„Pod Muflonem"**. Stoki slalomowe w Podgórzu około 1000—1200 m. Na wszelki wypadek informujemy, że **placówka Górskiego Pogotowia Ratunkowego mieści się przy ul. Zdrojowej 8 tel. 312.** Sympatykom naszej redakcji szczególnie polecamy schronisko „Orlica" w Zieleńcu", tel. Duszniki nr 428.

* * *

KARPACZ—BIERUTOWICE. Dobry punkt wypadowy w Karkonosze i Rudawy Janowickie. Urządzenia turystyczno-sportowe: wyciąg krzesełkowy na Małą Kopę, wyciąg orczykowy na stoku Kolorowa, nartostrada „Złotówka" od schroniska „Strzecha Akademicka" do dolnej stacji wyciągu na Małą Kopę. Stoki slalomowe: w żlebie Kotła nad Małym Stawem, zbocze „Złotówki", stoki góry Kolorowa koło kawiarni „Oaza". Na miejscu nauka jazdy na nartach. Ponadto tor wyczynowy bobslejowy, tor saneczkowy, turystyczny koło Orlinka. Jeśli chodzi o kwatery — najbardziej polecamy **hotel „Orlinek" ul. Olimpijska 9, tel. 567, „Biały Jar", ul. 1 Maja, tel. 319, „Patria", ul. Słowackiego 2, tel. 428, dom wycieczkowy PTT-K,, tel. 513 oraz znakomite schroniska: „Samotnia", tel. Bierutowice 376, „Strzecha Akademicka", tel. Karpacz 317, i „Domek Myśliwski" — schronisko studenckie. Na miejscu łatwo również znaleźć kwatery prywatne.**

* * *

KŁODZKO i okolica. Wspaniały punkt wypadowy w góry Złote, Bardzkie, Orlickie, Bystrzyckie i masyw Śnieżnika. Z urządzeń turystyczno-sportowych polecamy: tor saneczkowy (oświetlony) w Sokolcu, obok znajduje się także wyciąg orczykowy o 400 m długości. Ponadto tor saneczkowy i wyciąg narciarski w Jugowie, lodowisko na stadionie sportowym w samym Kłodzku i nartostradę ze szczytu Wielka Sowa przez Sokolice do Walimia. Baza noclegowa: **hotel „Śnieżnik" tel. 25-53, DW „Orzeł" w Sokolcu, tel. Walim 78, DW „Góra Anny", Nowa Ruda, tel. 24-28 i świetne schronisko „Zygmuntówka" na przełęczy Jugowskiej, tel. Nowa Ruda 548.**

* * *

LĄDEK-ZDRÓJ. Miejscowość położona około 400 m n. p. m. W okolicy również można uprawiać sport narciarski. Baza noclegowa: **zajazd turystyczny „Myśliwski" w Orłowcu** (bez telefonu) i **schronisko PTSN Lądek-Stojków** oraz kwatery prywatne, które oferuje **PTT-K ul. Kościuszki 36, tel. 255.**

* * *

MIĘDZYGÓRZE: Najpiękniejsza miejscowość u stóp masywu Śnieżnika, wysokość 500—600 m n. p. m. urozmaicone zbocza, wokół stoki slalomowe, szlaki narciarskie, wyciąg zaczepowy na stokach Jawornika. Baza noclegowa: **schronisko PTT-K na Śnieżniku, tel. 30, zajazd turystyczny „Złoty Róg", tel. 25.** W „Złotym Rogu" można rezerwować także kwatery prywatne.

* * *

PRZESIEKA. Wieś, stacja klimatyczna, bardzo urozmaicony pod względem narciarskim teren. Duże możliwości wynajęcia kwater prywatnych. Informacji na ten temat udziela **CIT, Jelenia Góra, tel. 242-06.** Stoki slalomowe, trasy narciarskie i zjazdowe prowadzą od schroniska **PTT-K „Odrodzenie".**

* * *

SOBIESZÓW. Miejscowość położona w sąsiedztwie góry Chojnik. Duże możliwości zakwaterowania we wsi **Jagniątkowo,** ponadto w hotelu **GS „Nad Wrzosówką", tel. 247.** Dobre warunki dla narciarstwa: trasy zjazdowe i stoki slalomowe.

* * *

SZKLARSKA PORĘBA. Miejscowość dla początkujących narciarzy, wokół mnóstwo „oślich łączek", trzy wypożyczalnie sprzętu narciarskiego i saneczkowego, prywatna wypożyczalnia sprzętu zimowego. Prowadzi stąd wyciąg krzesełkowy na Halę Szrenicką i Szrenicę, trzy nartostrady dla doświadczonych narciarzy, dziesięć pól ćwiczebnych, dwie skocznie narciarskie, tory saneczkowe, słowem — raj zimowych turystów. Radzimy najlepiej zamieszkać w schronisku, wybór jest spory: **schronisko PTT-K „Pod Łabskim Szczytem" tel. 24-60, „Hala Szrenicka", tel. 24-21, „Kochanówka", tel. 24-00** (miniaturowe schronisko dysponuje dziesięcioma miejscami) oraz **schronisko „Wojtek", tel. 21-41.**

W razie nieszczęśliwego upadku dzwonić pod 19-21.

* * *

ŚWIERADÓW - ZDRÓJ. Wspaniałe tereny narciarskie. Na miejscu wypożyczalnia sprzętu turystycznego. Zamieszkać można **w. domu wycieczkowym PTT-K** lub w **schronisku „Na Stogu Izerskim".**

* * *

BIELSKO-BIAŁA i okolice. Polecamy szczególnie okolice, w tym regionie znajduje się **dużo dobrych schronisk,** m. in. **„Szyndzielnia", „Klimczok"** ponadto stacja turystyczna **PTT-K „Wilkowice"** — 50 miejsc, cena 15 zł, stacja turystyczna **PTT-K „Bystra"** — 30 miejsc, cena 18 zł, stacja turystyczna **PTT-K „Kamienica"** — 50 miejsc, cena 18 zł za łóżko. Kwatery prywatne zamawia się w recepcji hotelu **„Prezydent", tel. 272-11.** Urządzenia turystyczno-sportowe: kolejka linowa na Szyndzielnię, tamże wyciąg zaczepowy, nartostrady: „Niebieska" — długości 5900 m i takiej samej długości „Czerwona". Dla amatorów — stoki slalomowe na polanie Klimczoka.

* * *

BYSTRA. Wieś podgórska w pow. Bielsko-Biała. Na miejscu znajdują się cztery wyciągi zaczepowe, mała skocznia oraz lodowisko. **Noclegi tylko w kwaterach prywatnych.** Czynne jest również osiem stołówek prywatnych, dzienne wyżywienie około 50—60 zł.

* * *

ISTEBNA. Wieś górska pod Baranią Górą. Idealne miejsce dla początkujących narciarzy i dzieci. **Noclegi w kwaterach prywatnych,** obiady u gospodarzy lub w gospodzie „U Ujca".

* * *

KONIAKÓW. Jedna z najsłynniejszych wsi górskich w Polsce. Posiada świetne urządzenia sportowe: treningowe skocznie, wyciąg zaczepowy, szkółkę narciarską, lodowisko. Instruktorzy z miejscowego klubu udzielają pomocy fachowej początkującym narciarzom. **Noclegi w kwaterach prywatnych w cenie od 15 do 25 zł za łóżko.**

* * *

STRACONKA. Wieś w Beskidzie Małym na wysokości 480 m. n. p. m. Znana z obfitych opadów śnieżnych. Na miejscu znajduje się wyciąg zaczepowy i szlaki narciarskie. **Kwatery** można wynajmować bezpośrednio u gospodarzy, znanych z gościnności.

* * *

SZCZYRK. Znana, lecz jeszcze nie przeładowana stolica sportu i turystyki zimowej Śląska, poważny konkurent Zakopanego. W okolicy dużo wyciągów krzesełkowych i orczykowych, piękne nartostrady i szlaki zimowe prowadzą do pobliskich schronisk górskich na Skrzyczne, Klimczok, Szyndzielnię, Malinowską Skałę i Przełęcz Salmopolską. Duże możliwości zakwaterowania: w schroniskach, domach turystycznych i kwaterach prywatnych.

* * *

KORBIELÓW. Wieś u podnóży zboczy Pilska, jednego z najlepszych terenów narciarskich w kraju. Baza noclegowa: **dom wycieczkowy PTT-K, ul. Krzyżowa 3** — miejsc 20, **trzy stacje turystyczne PTT-K, dom wycieczkowy POSTiW, ul. Kamienna 40 i kwatery prywatne, tel. 27-01.** Z wyżywieniem nie ma kłopotów.

* * *

KRYNICA. Polecamy świetną wodę mineralną „Jan" i „Zuber".

* * *

LANCKORONA. Osada na zboczach Beskidu Średniego, urozmaicone tereny narciarskie. Noclegi w **DW „Bajka", tel. 33-56,** miejsc 20, cena 20 zł za łóżko oraz **prywatny pensjonat „Zamek"** — 21 miejsc, **„Tadeusz"** — 35 **miejsc.** Ceny za nocleg jednej osoby 700—800 zł miesięcznie. Wypożyczalni sprzętu turystycznego na miejscu — brak.

* * *

LIMANOWA i okolice. Tego rejonu nie trzeba reklamować. Dobre tereny narciarskie, świetne warunki zakwaterowania, „smaczna" gastronomia.

* * *

ŁĄCKO. Miejscowość znana nie tylko z falistych terenów i długich zjazdów narciar-

---

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

NIE ZAŁATWIONA SPRAWA

Stulecie krakowskiej Akademii Umiejętności, przekształconej w 1919 r. w Polską Akademię Umiejętności, a od 1952 r. w Polską Akademię Nauk minęło bez szerszego echa nawet w świecie naukowym. Jednakże na marginesie tej rocznicy warto przypomnieć, że członkami tej instytucji było szereg wybitnych uczonych rosyjskich i radzieckich.

Jako pierwszego Rosjanina wybrano na członka czynnego AU znakomitego chemika, twórcę okresowego układu pierwiastków **Dmitrija Mendelejewa** (1892). W latach następnych grono członków zagranicznych powiększyli przedstawiciele nauk humanistycznych: **Aleksander Wiesiołowski** — historyk literatury, **Iwan Linniczenko** — historyk dziejów Rusi do XV wieku, **Aleksiej Szachmatow** — lingwista i współpracownik wychodzącego w Krakowie „Rocznika Slawistycznego", oraz **Mikołaj Kariejew** (od 1902 r.) profesor Uniwersytetu w Warszawie, a następnie w Petersburgu, badacz dziejów Polski w XVI—XVIII wiekach.

Przy powoływaniu cudzoziemców na członków Akademii Umiejętności zwracano przede wszystkim uwagę na uwzględnianie przez kandydatów tematyki polskiej, w badaniach naukowych, a jeśli chodzi o przedstawicieli nauk ścisłych, to brano pod uwagę ich wkład w ogólnoświatowy rozwój danej dyscypliny.

W pierwszych latach zarówno istnienia państwa radzieckiego jak i niepodległej Polski wzajemne kontakty naukowe były bardzo słabe. Dopiero w 1925 r. została nawiązana wymiana publikacji naukowych. Pomimo starań ze strony PAU władze nie dopuściły do wyjazdu delegacji polskiej do Leningradu na jubileusz 200-lecia Rosyjskiej Akademii Nauk (1925 r.).

Od 1927 roku nastąpiły żywsze kontakty między uczonymi Polski i ZSRR, a wynikiem tego stało się powołanie na członka czynnego PAU matematyka radzieckiego **Mikołaja Łusina** (1928), a w rok później filologów słowiańskich, profesorów **Borysa Łapunowa** i **Grigorija Ilińskiego.**

W 1935 roku został wybrany na członka czynnego przez Wydział Lekarski PAU znakomity radziecki fizjolog **Iwan Pawłow,** jednakże zanim wybór został zatwierdzony przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej — Pawłow zmarł. Pozostaje więc sprawą otwartą, tematem sporu dla prawników, czy wielkiego fizjologa można uważać za członka PAU, chociaż przewlekła procedura biurokratyczna nie została sfinalizowana.

Kandydatura J. Pawłowa została wysunięta i ze względu na jego światowy rozgłos, i ze względu na powiązania z Polakami oraz wspólne badania prowadzone niemal do ostatnich dni życia uczonego.

Iwan Pawłow (1849—1936) ukończył Uniwersytet Petersburski, a następnie uzupełnił studia w Akademii Medyko-Chirurgicznej. Poświęcił się badaniu fizjologii zwierząt. Głównie zajmował się fizjologią systemu krążenia i fizjologią trawienia (**fizjologia** — nauka zajmująca się badaniem przejawów życia organizmu i zależnością ich od czynników zewnętrznych). Osiągnięte wyniki przyniosły mu światową sławę oraz wyróżnienie nagrodą Nobla (1904 r.).

W toku dalszych badań Pawłowa zainteresowały czynności mózgu przebiegające pod wpływem podniet zewnętrznych. Związek bodźców zewnętrznych z reakcją na nie organizmu nazwał Pawłow **odruchem bezwarunkowym czyli wrodzonym.** Natomiast **odruch warunkowy** jest wyuczoną reakcją organizmu i rezultatem doświadczeń życiowych.

Wielokrotne wystąpienie bodźca dodatkowego, jak stwierdził Pawłow, powoduje, że owa obca dla odruchu bezwarunkowego podnieta z czasem wywołuje typową dla organizmu reakcję dla danego odruchu bezwarunkowego. Np. przy dotykaniu

skich. **Rezerwowanie kwater prywatnych w Nowym Sączu, tel. 210-02.** Cena od 500 do 750 zł miesięcznie za pokój. Wyżywienie w gospodach lub u gospodarzy.

* * *

MSZANA DOLNA i MUSZYNA. Obie miejscowości polecamy z czystym sumieniem. Dobre tereny narciarskie i wygodne warunki pobytu.

* * *

OCHOTNICA DOLNA i GÓRNA. Duża wieś w Gorcach (pow. Nowy Targ). Tereny narciarskie. **Noclegi w kwaterach prywatnych** w cenie 25—30 zł. Na miejscu dwie gospody i obiady domowe.

* * *

PIWNICZNA. W całej okolicy dobre tereny narciarskie, wyciąg orczykowy i stoki slalomowe.

* * *

RYTRO. Duża wieś z tradycjami przyjmowania turystów na pobyty letnie i zimowe. Na miejscu hotel i 400 miejsc w kwaterach prywatnych. Wyciąg narciarski zaczepowy przy DW „Jantar".

* * *

SZCZAWNICA. Tereny narciarskie dla mniej i bardziej wprawnych sportowców. Najlepsze powietrze w Polsce.

* * *

ZAKOPANE. Wiadomo.

* * *

ZAWOJA. Wieś u podnóża Babiej Góry. Urozmaicone zbocza dla narciarzy, długotrwała pokrywa śnieżna. Noclegi w **DW PTT-K „Hanka" — 22 miejsca, a także 1000 miejsc w kwaterach prywatnych.** Specjalność miejscowej restauracji — placki ziemniaczane, schab z cebulą, barszcz na zakwasie ogórkowym. Dwa wyciągi zaczepowe.

* * *

ZWARDOŃ. Wieś o wyjątkowo dobrych warunkach dla narciarzy. Pokrywa śnieżna gruba i długotrwała. Noclegi: **w domu wycieczkowym PTT-K** oraz w **dwu stacjach turystycznych,** a także **w kwaterach prywatnych.** Informacji udziela **POSTiW — „Sola", Żywiec pl. Zjednoczenia 12, tel. 27-01.** Z urządzeń sportowych znajduje się wyciąg narciarski orczykowy, stok slalomowy i skocznia.

* * *

HANDZLÓWKA. Urozmaicone tereny narciarskie, na miejscu wyciąg i dobre stoki slalomowe. Miejscowość znana z dużej gościnności, **kwatery, oczywiście, prywatne, ale bardzo dobre.** Ceny: 20—30 zł za dobę. We wsi kilka dobrych stołówek i jadłodajni — całodzienny koszt wyżywienia 40—45 zł. Z urządzeń sportowych tylko wyciąg zaczepowy. Miejscowi gospodarze chętnie organizują kuligi dla gości. Bliższych **informacji** na temat zakwaterowania udziela Antoni Kisała i Grażyna Pusz zam. obok przystanku PKS, tel. 9. Ponadto **PTT-K w Łańcucie, tel. 20-52.** Jest to jedna z najładniejszych wiosek w Polsce, polecamy ją z pełną odpowiedzialnością.

* * *

JAWORNIK POLSKI. Wieś na zboczach Pogórza Strzyżowsko-Dynowskiego. Dobre miejsce dla średnio wprawnych narciarzy i młodzieży. Baza noclegowa: 40 miejsc w kwaterach prywatnych i 15 miejsc w stacji turystycznej. Ceny do 3 dni — 24 zł na dobę, ponad 3 dni pobytu — po 18 zł. Bliższych informacji można zasięgnąć w **Bibliotece Miejskiej w Dynowie, ulica Mickiewicza 16, tel. 62.**

* * *

KOMAŃCZA. Wyjątkowo dobre tereny narciarskie. Długa zima, gruba pokrywa śnieżna. Wyciąg zaczepowy i na miejscu szkółka narciarska. Noclegi w schroniskach lub kwaterach prywatnych. Informacja: **POSTiW „Wierchy", Komańcza, tel. 43, schronisko PTT-K, tel. 13, schronisko ZSP — tel. 50.**

* * *

SOLINA. Miejscowość dobrze znana z wypoczynku letniego, mało kto wie, że znajduje się tam wyciąg narciarski. Cena wczasów w tamtejszym hotelu nad Zalewem: 7-dniowe 650 zł, 10-dniowe — 925 zł, 14-dniowe 1221 zł. Informacja: **WOSTiW — „Bieszczady", ul. Turkienicza 23a, tel. 350-83, Rzeszów.**

* * *

LESKO. W „Zamku Kmitów" należącym do kopalni „Makoszowyż", są bardzo często wolne miejsca. Cena noclegu — 20 zł. Informacji udziela **POSTiW, Lesko, tel. 667.**

* * *

USTRZYKI W granicach miasta i najbliższych okolicach dziesiątki dobrych terenów narciarskich, umożliwiających dobre spędzenie urlopu przez zaawansowanych i mało sprawnych narciarzy. Według najświeższych informacji miejscowość bardzo dobrze przygotowana do przyjęcia zimowych urlopowiczów. Urządzenia sportowo-turystyczne: wyciąg narciarski zaczepowy o długości 800 m, stok oświetlony: dwie trasy slalomowe o długości 800 i 1200 m na stoku Gromadzyn, trasa slalomowa długości 600 m na stoku „Mały Król" Noclegi można otrzymać w hotelach, w domach wycieczkowych i kwaterach prywatnych. Informacji udziela **Biuro Zakwaterowań przy POSTiW „Połoniny", tel. 116 w Ustrzykach oraz PTT-K, tel. Ustrzyki 247.** Na miejscu znajduje się także wypożyczalnia sprzętu, zaopatrzona średnio.

* * *

ŚW. KATARZYNA. Wieś u stóp Łysicy. Można tam uprawiać narciarstwo górskie i nizinne. Noclegi w domu wycieczkowym, **PTT-K, tel. nr 6 — Św. Katarzyna;** bliższych informacji udzieli **WOSTiW w Kielcach, tel. 110-10. oraz PTT-K w Łodzi, tel. 230-64.**

* * *

KAZIMIERZ DOLNY. I w tej miejscowości można uprawiać sport narciarski. Na stoku za Basztą znajduje się wyciąg narciarski zaczepowy, długości 420 m, oświetlony codziennie do godz. 22. Ponadto w mieście jest lodowisko, również oświetlone w godzinach wieczornych i tor saneczkowy w wąwozie tzw. Łysej Górki. Baza noclegowa: **hotel miejski, tel. 114** oraz **kwatery prywatne.** Informacji na ten temat można zasięgnąć w miejscowym **PTT-K, tel. 46, Rynek 27.** Kazimierz posiada około 100 prywatnych miejsc noclegowych w cenie 30—50 zł za dobę.

SPRZED LAT

gałki ocznej następuje łzawienie. Jest to odruch bezwarunkowy. Lecz jeśli dotykaniu przez wiele, wiele razy będzie towarzyszyć głos dzwonka, to po pewnym czasie u obserwowanego osobnika na sam odgłos dzwonka, bez drażnienia gałki ocznej, nastąpi łzawienie i to będzie odruch warunkowy.

Związki Pawłowa z Polakami miały charakter dydaktyczny (studenci Polacy) oraz przyjaźni osobistej i współpracy naukowej. **Marceli Nencki** lekarz, chemik i fizjolog, profesor Uniwersytetu Petersburskiego odbywał wspólne studia z Pawłowem. Zadzierzgniętą przyjaźń młodzieńczą kontynuowali oni poprzez wspólną pracę naukową w Instytucie Medycyny Doświadczalnej i w Wojskowej Akademii Medycznej.

W 1890 roku Senat Uniwersytetu Warszawskiego zaproponował Pawłowowi objęcie katedry farmakologii w Warszawie. Lecz uczony związany wielostronnymi badaniami z petersburskim ośrodkiem naukowym, propozycji nie przyjął.

Do grona uczni Pawłowa należeli znani polscy fizjolodzy **Leon Popielski, Zygmunt Wulfson i Mieczysław Minkowski.** W okresie międzywojennym w laboratorium Pawłowa pracowali młodzi na ów czas warszawscy naukowcy: **Stefan Miller i Jerzy Konorski** (obecnie członek PAN).

Biorąc pod uwagę zarówno wkład Pawłowa w rozwój fizjologii jako nauki oraz powiązania uczonego z Polakami, prof. **Witold Orłowski** na posiedzeniu Wydziału Lekarskiego PAU, 25 marca 1935 r. wysunął jego kandydaturę na członka czynnego.

Uzasadnienie prof. Orłowskiego składało się zaledwie z kilku zadań:

„Iwan Pawłow mający obecnie 85 lat pracuje naukowo 60 lat. W pierwszym 25-letnim okresie pracy ogłosił liczne prace nad wydzielaniem gruczołów trawiennych, za które otrzymał w 1904 roku nagrodę Nobla. Mniej więcej od roku 1900 prowadzi rozległe badania nad korą mózgową. Jest niezaprzeczalnie jednym z najwybitniejszych fizjologów współczesnych, przy czym nie tylko kieruje pracami swoich licznych współpracowników, lecz sam pracuje czynnie do chwili obecnej. Jako człowiek był zawsze bardzo życzliwy dla Polaków".

Równocześnie z kandydaturą Pawłowa rozpatrywano pięć innych kandydatur z tym, że z sześciu proponowanych osób na członków miano powołać trzech uczonych.

Za kandydaturą Pawłowa głosowali wszyscy. Został on wybrany do grona członków PAU wraz z **Ludwikiem Aschoffem** i **Juliuszem Bordetem,** mając największą liczbę głosów.

Według statutu PAU każdy z członków zagranicznych winien był uzyskać zatwierdzenie Prezydenta Państwa. Procedura zatwierdzania trwała stosunkowo długo, a do czasu ostatecznego werdyktu nie ogłaszano nazwisk nowych członków zagranicznych.

Nazwisko Pawłowa nie znalazło się na liście polskich akademików, gdyż zmarł on w lutym 1936 r. przed podpisaniem aktu powołania przez prezydenta Mościckiego.

Dalszy ciąg ze str. 1

W ten sposób ustał napływ interesantów z sionki, przy drugich drzwiach stanęła na straży pani Basia.

Rząśnia jest gminą z tradycjami. w ubiegłym roku wieś obchodziła jubileusz 600-lecia swego istnienia, dzięki czemu wzbogaciła się o założony wspólnym wysiłkiem park, który upamiętnił tę doniosłą rocznicę. Zbudowano w nim basen i wydzielono specjalny ogródek dla dzieci. Mimo to o siedzibę gminy trzeba było troszkę zawalczyć, bo o ten zaszczyt ubiegały się także **Bogumiłowice** i **Biała.** Zwyciężyła Rząśnia, za którą stał autorytet tradycji i zwartość gromadzkiego kolektywu, powiększając zasięg swego oddziaływania o wsie **Reklę, Stróżę, Gawłów** i zdetronizowaną Białą.

Utworzona w ten sposób gmina liczy sobie 6430 ludności i posiada 1428 gospodarstw na 7454 hektarach. Obejmuje 17 sołectw. W porównaniu z dawną gromadą powiększyła się o blisko 500 gospodarstw. niemal o połowę wzrosło też jej terytorium. Ale nowych spraw do załatwienia nie można mierzyć prostymi proporcjami przyłączeń, trzeba stosować algebrę współczesnych ambicji i potrzeb.

Mimo swoich tradycji Rząśnia nie należała do szczodrze obdarowanych przez los, zresztą nawet powiatowe **Pajęczno** nie uchodzi za potentata. We wsi istnieje klub rolnika, gdzie młodzież organizuje taneczne wieczorki, nie ma jednak mleczarni, nie ma też masarni, chociaż większość gospodarstw specjalizuje się w tuczu trzody chlewnej.

— Powiem panu tak, mleczarnię już budujemy, wiosną będzie oddana do użytku. Masarnia? Nie będzie to chyba takie proste, ale raczej dogadamy się z naszym Geesem. Uruchomimy także pawilon usługowy „Nowoczesna gospodyni", z pralnią, punktem dziewiarskim, zakładem fryzjerskim, wypożyczalnią sprzętu. To oczywiście początek, chociaż i te skromne przecież zamierzenia niełatwo będzie zrealizować, a w każdym razie terminowo, bo wszystko zależy od wykonawców. Ale będziemy pilnować tych spraw, bo to istotne dla wsi. Jeśli władza jest bliżej rolników, niech bliżej będą także usługi. Zresztą nasi ludzie mają aspiracje: kończymy już budowę wodociągu, a to oznacza, że w każdej chałupie będzie przynajmniej kran i zlew. Wszyscy dopytują się także o Dom Strażaka, który będzie także pełnił pomocnicze funkcje kulturalne. I wie pan co im odpowiadam? Zaczynamy budowę.

NACZELNIK W SPÓDNICY

Reforma administracji wiejskiej, która wyzwoliła tyle namiętności przed utworzeniem gmin, uprzytomniła ludziom ich możliwości i uprawnienia. Ambicjonalne sprawy wygasły, ale pozostała pasja, żeby wieś ulepszać, unowocześniać, urbanizować. Mogę to wyczytać między słowami Jadwigi Mielczarek, kiedy informuje, że w Gawłowie już wiosną zacznie się budowa remizy strażackiej i świetlicy, w czynie społecznym. W budynku, który stanowił do niedawna siedzibę gromadzkiej rady w Białej, będzie zorganizowane pierwsze w gminie przedszkole, otworzy się także świetlicę i czytelnię.

— No więc, trzeba będzie także pomyśleć o przedszkolu w Rząśni, co jako matka, doskonale rozumiem.

Wieś przebudziła się, toteż świeżo upieczona pani naczelnik już w pierwszych dniach swego urzędowania uczestniczyła w dwóch zebraniach rolników W **Suchowoli** miano budować z funduszów gminnych pół kilometra bitej drogi. Ale chłopi nie zgodzili się. Nie będzie pół kilometra, będą trzy kilometry drogi, gdyż każdy z mieszkańców zadeklarował w czynie społecznym przepracowanie jednej dniówki robocizny, jak się to fachowo nazywa.

— Jeżdżę na zebrania, albo ludzie do mnie przychodzą — zauważa pani Jadwiga.

Chodzi o komunikację, o pospolite dziś na wsi autobusy, które docierają wszędzie, a w każdym razie powinny docierać. Tymczasem położone na krańcach gminy sołectwo **Augustów** odległe o 15 km od Rząśni, oraz tak samo oddalona **Stóża** i **Zabrzezie,** nie mają dziś połączenia ze swoją metropolią. Dysponenci z powiatowej bazy **PKS w Pajęcznie mówią:** Poczekajcie ludzie do maja, będzie nowy rozkład jazdy, wtedy waszą sprawę załatwimy jak trzeba.

Ale ludzie nie chcą czekać, bo dzisiaj większość spraw związanych z gospodarstwem załatwia się w gminie. Przyjeżdżają na rowerach, albo jak kiedyś wozami, które niemrawo ciągnie konik. Walą do swojej pani naczelnik i już od progu domagają się uruchomienia komunikacji. Jadwiga Mielczarek interweniowała nie jeden raz w tej sprawie. problem połączeń z siedzibą gminy stawiany był na spotkaniach aktywu, zajmował się nim gminny komitet PZPR i ZSL, ale monopolistka PKS jest nieubłagana, cóż tu gmina zrobi, ta sprawa leży w gestii powiatu.

— No więc takie są te moje pierwsze dni urzędowania — uśmiecha się Jadwiga Mielczarek.

— A jak będzie dalej? — pytam.

— Powiem coś panu w tajemnicy — powiedziała ściszając głos — **mam już spodnie u krawca. Będę się w nich lepiej czuła jako naczelnik, kiedy je zabiorę z szycia. Rozszerzane u dołu.**

— Czy naczelnik w spódnicy nie wzbudza zaufania? — zapytałem tak samo żartobliwie.

— Pewnie nie, ale niekiedy żałuję, że nie jestem mężczyzną. Wieś, to wieś, niejedną sprawę łatwiej byłoby załatwić przez bufet, kobiecie to nie przystoi. A zresztą, czym ja się tutaj nie zajmuję. Przychodzą do mnie stare, spracowane kobiety i mówią: mam wycug, to znaczy umowę dożywocia zawartą z dziećmi. A te dzieci nie dają ani chleba, ani ziemniaków, ani opału. Więc jadę na miejsce, wzywam zięcia i córkę. Powiadają mi o staruszce: matka może sama wejść i sobie wziąć. Zaczęłam ich zawstydzać, ale tamci zacięli się w uporze. Jestem tu władzą czy nie? Więc zagroziłam, że sprawę skieruję do sądu i wtedy poskutkowało.

— Tego typu sprawy wiecznie będą istniały — powiedziałem po chwili.

— Czy ja wiem? — zastanowiła się Jadwiga Mielczarek. — **Myślę tak: kiedyś, jeszcze jako gromadzki agronom, chciałam wiele zmieniać, wiele reformować. Ale często stawałam przed murem niemożności. Zdobyłam sobie młodych i ci mnie rozumieją. Zgadzają się, jak i ja, że trzeba poprawić stan dróg, usprawnić połączenia komunikacyjne, zmeliorować wiele gruntów, dokonać jeszcze ściślejszej specjalizacji gospodarstw. Trzeba wieś przeobrazić, rozwinąć w ludziach potrzeby kulturalne. Moje szanse życiowe nierozerwalnie związane są z gminą, za którą odpowiadam. Będę tu chciała wiele zrobić, dopóki jestem młoda, a to chyba niemało.**

KONRAD FREJDLICH

Kadry z filmu animowanego EN FACE

J. Sierociński, J. Wiktorowski

Cybernetyk w kraju Papuasów

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Wybitny specjalista-cybernetyk ze stolicy, docent Skirmunt, przybywa z odczytem do miasteczka Karsk, gdzie spotyka go kierownik klubu młodzieżowego, Maciek, i jego dziewczyna, Bożena. W miejscowej kawiarni dochodzi do rozmowy nie wolnej od kompleksów...

I.

SKIRMUNT: — Pani jest taka... dumna.

BOŻENA: — Dumna?

SKIRMUNT: — Nie znajduję lepszego określenia. Pani chce mi koniecznie dać do zrozumienia, że wy tutaj nie jesteście ubodzy krewni. Z pewnością nie jesteście. Ale proszę posłuchać! W moim ośrodku obliczeniowym w Warszawie dysponuję dość nowoczesną aparaturą do przetwarzania danych. Są to maszyny elektroniczne, które po zaprogramowaniu same dokonują błyskawicznie skomplikowanych przeliczeń i analiz, zastępując pracę co najmniej kilkuset rutynowanych rachmistrzów. U was w Karsku szczytem techniki w tym zakresie jest zapewne ręczny arytmometr w miejscowym oddziale banku. Między tym arytmometrem a moimi komputerami zawiera się pięćdziesiąt lat rozwoju myśli technicznej. Proszę pomyśleć, pięćdziesiąt lat! To cała epoka.

MACIEK: — Fascynujące!

BOŻENA: — I cóż stąd?

SKIRMUNT: — Cóż stąd? A to, że życie u was płynie w takim mniej więcej tempie, jak przed pięćdziesięciu laty.

BOŻENA: — To ma być zarzut?

SKIRMUNT: — Na Boga, nie! Kiedy byłem w Paryżu i zwiedzałem ośrodek maszyn liczących w Michélet, ja dla odmiany czułem się jak ubogi krewny. Cóż, takie jest życie! Postęp nie przebiega równomiernie. Gdzieś na archipelagu u wybrzeży Australii Papuasi żyją do dziś na poziomie jaskiniowców. O wszystkim decydują warunki.

BOŻENA: — Znaczy, że my tu w Karsku ze względu na Papuasów możemy mieć dobre samopoczucie.

SKIRMUNT: — Hm, w pewnym sensie...

BOŻENA: — A dla pana docenta to my jesteśmy trochę tacy Papuasi.

SKIRMUNT: — Ależ, pani Bożenko!

BOŻENA: — Znowu pan docent czuje się Papuasem w Paryżu.

SKIRMUNT: — O, złośliwa z pani osóbka! Nawet nie przypuszczałem...

MACIEK: — Ona jest po prostu przekorna. Zawsze taka była. I jeszcze bardzo młoda. Niech pan docent się na nią nie gniewa!

SKIRMUNT: — Gniewać się? Skąd! Mnie się to podoba. W pani słowach jest taka temperatura. W pewnym stopniu mi to nawet imponuje.

II.

(Maciek oddala się wzywany obowiązkami organizacyjnymi).

SKIRMUNT: — Czy pozwoli pani wypić swoje zdrowie?

BOŻENA: — Dobrze. Ale ja wypiję za Papuasów. Oni tam biedni chodzą nago i nie tylko nic nie wiedzą o komputerach, ale nawet i o ręcznych arytmometrach. Nawiasem mówiąc, my na poczcie pracujemy na zwykłych liczydłach.

SKIRMUNT: — W takim razie piję za postęp techniczny. Żeby jak najprędzej przywędrował do Karska! Pozwoli pani, że doleję?

BOŻENA: — Chce mnie pan wstawić?

SKIRMUNT: — Chciałbym tylko, żeby pani nie była wobec mnie taka nieufna. Pij. Bożenko! Za spełnienie twoich planów!

BOŻENA: — Nie mam żadnych.

SKIRMUNT: — Więc za najskrytsze marzenia!

BOŻENA: — Odzwyczaiłam się marzyć.

SKIRMUNT: — Nie wierzę. Nie śni ci się czasem kariera gwiazdy filmowej? Albo że pojawia się książę z bajki i zabiera cię z tego zaklętego kręgu, w którym przyszło ci żyć?

BOŻENA: — Teraz ja zadam panu parę pytań. W rewanżu. Przede wszystkim, czy pan jest żonaty?

SKIRMUNT: — Nie. Jakoś nie doszedłem nigdy do uporządkowania spraw osobistych. Rozumiesz: studia, doktorat, później habilitacja, stypendia zagraniczne. Jakoś nie było wiele czasu na kobiety.

BOŻENA: — Więc. Żonaty pan nie jest. Wóz przywiózł pan sobie z pewnością nielichy z tych podróży na Zachód?

SKIRMUNT: — Skromny volkswagen. Nie przykładam większej wagi do tego. Aby się toczył.

BOŻENA: — Skromny volkswagen. Ale mieszkanie ma pan urządzone wygodnie i ze smakiem, prawda?

SKIRMUNT: — Sprawdź sama na miejscu. Zapraszam cię. Oto mój bilet.

BOŻENA: — Saska Kępa. To mi pachnie własną willą.

SKIRMUNT: — Istotnie. Ale mnie indagujesz!

BOŻENA: — Taksuję pana.

SKIRMUNT: — Proszę?

BOŻENA: — Kopciuszek sprawdza kwalifikacje kandydata na księcia z bajki.

SKIRMUNT: — To niby ja mam nim być?

BOŻENA: — Dlaczegóżby nie?

SKIRMUNT: — Więc jaki rezultat taksowania?

BOŻENA: — Nie mam pod ręką komputera, ale myślę, że ujdzie. W demokracji i księciu trzeba stawiać zaniżone wymagania.

SKIRMUNT: — Dziękuję ci.

BOŻENA: — Minę ma pan niewyraźną.

SKIRMUNT: — Skądże! Świetnie się bawię.

BOŻENA: — Zatem udało mi się zabawić pana docenta. Jeden do zera dla urzędu pocztowego w Karsku.

SKIRMUNT: — Wobec tego napijmy się jeszcze wina!

BOŻENA: — Za moje marzenia już było. A czy książe z bajki osiągnął już wszystko z tego, co mu może dać państwo ludowe? Za spełnienie pana marzeń!

SKIRMUNT: — Dziękuję. Ale muszę pewną rzecz sprostować. Ty myślisz, że wyjazdy zagraniczne, auto, własne mieszkanie, to sprawy, wokół których obracają się moje aspiracje. To nie tak. Mam przede wszystkim ambicje naukowe. Chcę dojść pewnych prawd, które dotąd są przed ludzkością ukryte.

BOŻENA: — Myślę, że pan to osiągnie. A potem popłyną nowe zaszczyty, nominacja na profesora, członkostwo zagranicznych towarzystw naukowych, i tak dalej. To nie są dla pana jakieś niebotyczne szczyty. Pan je zdobędzie. A ja w tym czasie...

SKIRMUNT: — A ty?

BOŻENA: — Ususzę się, jak w zielniku, za okienkiem w urzędzie pocztowym w Karsku.

SKIRMUNT: — Znowu ta gorycz. Skąd się to bierze w twoim wieku?

BOŻENA: — Przepraszam. Mówmy o czym innym! Spragniona jestem czegoś miłego.

SKIRMUNT: — Czy mam powiedzieć to, co sobie po cichu myślałem?

BOŻENA: — Sam pan zaproponował szczerość.

SKIRMUNT: — Więc dobrze. Powiem, choć czuję, że się przy tym zarumienię jak sztubak. Ty masz swoje życie, ja swoje. Spotkaliśmy się w sferze czystej abstrakcji, w miejscu przypadkowego i chwilowego styku naszych egzystencji. Gdybyś tylko zechciała mnie zrozumieć, potraktować naszą sytuację bez pruderii...

BOŻENA: — Ale pan ma zdolność gmatwać wszystko! Jak na naukowca przystało.

SKIRMUNT: — To niełatwo wypowiedzieć, żeby nie zabrzmiało trywialnie.

BOŻENA: — Chce pan, żebym się z panem przespała?

SKIRMUNT: — Dlaczego tak to formułujesz?

BOŻENA: — Skoro pan owija w bawełnę. No, czy nie o to panu w końcu chodzi?

SKIRMUNT: — Gniewasz się na mnie?

BOŻENA: — Gniewać się za szczerość? To by było wbrew umowie. Chciałabym tylko wiedzieć, jak pan to sobie wyobraża? Mam przyjść do pana do hotelu?

SKIRMUNT: — Nie śmiem nawet prosić!

BOŻENA: — Zapomina pan, że Karsk to małe miasto, w którym wszyscy się znają.

SKIRMUNT: — W takim razie dziś wieczorem w pokoju hotelowym będę mógł tylko marzyć o tobie...

III.

(W pokoju hotelowym Skirmunta wieczorem).

SKIRMUNT: — Kto tam?

BOŻENA: — (głos słumiony zza drzwi). To ja.

SKIRMUNT: — Pani? Ty, Bożenko? Już otwieram. Tylko się doprowadzę do porządku... Proszę bardzo. Co za niespodzianka! Myślałem, że się już nie zobaczymy. Siadaj! Może tutaj? Aleś mnie zaskoczyła!

BOŻENA: — Powinien pan już wiedzieć, że mnie stać na różne wyskoki. A może pan niezadowolony z wizyty?

SKIRMUNT: — Jestem zachwycony.

BOŻENA: — Podobała się panu dyskusja po odczycie?

SKIRMUNT: — Cóż, młodzież interesująca, garnąca się do współczesnej wiedzy...

BOŻENA: — A tak naprawdę? Papuasi?

SKIRMUNT: — Znowu złośliwości?

BOŻENA: — Mam się włączyć do chóru chwalców? Mój głos rozpłynie się w nim bez śladu.

SKIRMUNT: — Jak ty mało o mnie wiesz!

BOŻENA: — Na mój użytek dosyć. Sławny człowiek przyjeżdża ze stolicy do małego miasteczka, udziela się łaskawie, jest komplementowany, niemal noszony na rękach. Trafia się dziewczyna, prowincjonalna gęś, ale ciało niczego sobie. Nie gorsza od dziewczyn paryskich. Więc...

SKIRMUNT: — Bożenko, proszę cię!

BOŻENA: — A nie myślisz tak? Że mam ładne piersi i że z taką lalką poszedłbyś chętnie do łóżka?

SKIRMUNT: — Mówisz tak bez osłonek.

BOŻENA: — Wolałbyś, żebym to formułowała bardziej poetycznie?

SKIRMUNT: — Słuchaj. Po co ty właściwie tu przyszłaś? Udzielać mi lekcji?

BOŻENA: — Nie zamierzam być niczyją guwernantką.

SKIRMUNT: — Sama powiedziałaś, że Karsk jest mały i plotkarski. Taka wizyta w hotelu nie ujdzie uwadze.

BOŻENA: — Martwisz się o moją reputację, czy o swoją?

SKIRMUNT: — Masz narzeczonego?

BOŻENA: — Maciek? Masz kogo wspominać!

SKIRMUNT: — Był wobec mnie bardzo miły.

BOŻENA: — Ach, winien mu jesteś lojalność! Czekaj! Wygląda na to, że ty się przede mną bronisz. A ja przecież nie przyszłam ci się ofiarować.

SKIRMUNT: — Doprawdy, nie wiem, jak się właściwie zachować!

BOŻENA: — Tylko nie próbuj rzucać się na mnie i konsumować swojej prowincjonalnej przygody. Będę krzyczała, a tu ściany są cienkie.

SKIRMUNT: — Burzysz gruntownie schemat tej przygody. I wiesz? Jakiekolwiek były twoje intencje, to przecież dałaś mi lekcję.

BOŻENA: — Lekcję?

SKIRMUNT: — Szacunku dla ludzi. Dla tych, którym tutaj wypadło żyć.

BOŻENA: — Zaczynasz być skruszony. Wierz mi, mnie na tym nie zależy. Zresztą i tak szybko o tym zapomnisz. Wystarczy, że znajdziesz się wśród tych swoich arcymądrych komputerów.

SKIRMUNT: — Nie chciałabyś, żebym umożliwił Maćkowi start u siebie?

BOŻENA: — W najlepszym razie udałoby ci się ukształtować go na swój obraz i podobieństwo. Czy warto?... Zresztą to jego kariera jest mi obojętna.

SKIRMUNT: — A my? Czy nasze drogi skrzyżują się jeszcze kiedyś?

BOŻENA: — Wątpię.

SKIRMUNT: — A pozwolisz mi od czasu do czasu...

BOŻENA: — Przysłać mi kolorową widokówkę z szerokiego świata? Owszem. Dlaczego tylko ten filatelista ma mieć monopol na otrzymywanie sygnałów z daleka?

SKIRMUNT: — Nie odchodź jeszcze.

BOŻENA: — Jaki sens przedłużać tę rozmowę?

SKIRMUNT: — Bożenko, a gdyby...

BOŻENA: — Gdyby co?

SKIRMUNT: — Gdybyś rzuciła tę nędzną dziurę i pojechała ze mną? Nie namyślając się. Jutro.

BOŻENA: — Mówisz serio?

SKIRMUNT: — Brzmi to tak nieprawdopodobnie?

BOŻENA: — (po chwili). Kopciuszek i książę z bajki. Kładka przerzucona między Papuą i wielkim światem. To byłoby nawet efektowne. Nie mój książę! Nie wejdę na tę kładkę. Zostańmy każde w swoim świecie...

Całość słuchowiska pod tytułem „PAPUA" nadana będzie w programie I Polskiego Radia w wykonaniu artystów scen łódzkich.

HUMOR

Ł. TREER (ZSRR)

Psychognostyka

Wracając późnym wieczorem z kliniki, szedłem przez park. Gdy pokonałem już dwieście metrów ciemnej alei, dostrzegłem człowieka idącego mi naprzeciw.

Instynktownie poczułem niebezpieczeństwo.

Zrównaliśmy się.

— Zapalić nie macie? — zapytał człowiek.

Wyciągam papierosa. Podaję ogień.

Przypala.

Światło wyławia z ciemności jego twarz. Natychmiast określam typ: reakcje energiczne. Prosty w obejściu. Agresywny, wytrzymały, lubi ćwiczenia fizyczne, sprośny, zazdrosny, gwałtowny, pozbawiony delikatności. W sytuacjach konfliktowych — przejawia natychmiastowe energiczne reakcje. Pod wpływem alkoholu — nasilenie agresywności...

No co, trynkniem, bracia-króliki?

Rys. B. Starczikow

Wyciągam gotówkę — 32 ruble i 53 kopiejki.

Milczy.

Rozumiem. Myślenie konkretne. Paradoksalny minimaks. Po osiągnięciu granicy imponowanie minimalizuje się transformując się w maksimum antypatii...

Zdejmuję zegarek. Podaję razem z pieniędzmi.

— A w mordę chcesz? — pyta człowiek.

Rozumiem. Reakcja negatywna. Domyślam się: miał łagodną matkę i brutalnego ojca. Jako następstwo ojcowskiego modus — stanowczość, twarde, męskie powinowactwo do ingerencji...

Zdejmuję marynarkę. Prawie nowa. Dołączam do pieniędzy i zegarka.

W jego oczach jest pożądliwość z domieszką zakłopotania: efekt braku sprzeciwu.

Lecz nie bierze. Dziwne.

Proponuję test:

— Proszę wymienić nieparzystą cyfrę do dziesięciu.

— Dziewięć.

Nie pomyliłem się. Cyklotyk z domieszką awanturnictwa...

Zdejmuję buty. Włoskie.

On (z irytacją):

— Przecież mogę się obrazić, chłopie!

— Ma pan prawo.

Nerwowy, patologiczny uśmieszek, gwałtowny cios w szczękę. Padam, wstaję.

Logiczne. Sadyzm odruchowy. Poza tym i tak wszystko jest jasne...

Zdejmuję spodnie.

— Kończ ten striptis i ubieraj się, idioto!

Ciekawe, lecz żadna nowość. Kompleks kota bawiącego się myszą zanim ją zje. Globalna przewaga...

— Proszę wybaczyć, lecz nie bardzo wypada zdejmować bieliznę.

— Za kogo ty mnie bierzesz?

Grymas. Możliwość gwałtownej reakcji, ekscesów...

Łagodzę półżartem.

— Uważam pana za człowieka znajdującego się chwilowo w tarapatach finansowych...

Zamyśla się. Wzdycha.

— Tak, pieniądze by się przydały...

— Widzi pan! Oto 32 ruble i 53 kopiejki. Rzeczy można zanieść do komisu. Wychodzi razem ponad sto rubli. Na początek starczy...

— A ty, niby jak?

— O mnie proszę się nie martwić.

— Dziwne to wszystko... Diabli nadali... Jakoś nie wypada...

Element niezdecydowania. Prawdopodobnie łagodność matki zdążyła osiąść w podświadomości i z rzadka przenika do świadomości...

Uspokajam go. Ściągam koszulę, wpycham do niej rzeczy. Zawiązuję w węzełek.

Bierze i odchodzi.

A więc intuicja mnie nie zawiodła.

Pędzę na milicję.

Rys. A. Jelisiejew

B. WERCHOWAC (Jugosławia)

Opowieść byłego setera

Myśliwi zazwyczaj lubią pokłamać. Lecz psy — nigdy. Dlatego w mojej opowieści każde słowo jest prawdą, czystą prawdą.

Zaprosił mnie pewnego razu mój szef na polowanie. „Głos — mówi — masz wspaniały, ja wezmę dubeltówkę, a ty będziesz szczekać. Różną dziczyznę nagonisz na muszkę. Bo widzisz, seter mój się przeziębił."

No, myślę, poszczęściło mi się, mnie szef zaprosił a nie kogo innego!

Poleciłem żonie by kupiła na targu kosz świeżych jaj. Przygotowałem gardło niczym śpiewak na festiwal. Wypróbowałem. Wychodzi. Głośno, donośnie. Od basów niedźwiedzich do górnego la wiewiórki.

Wyszliśmy świtaniem. Idziemy. Nagle — nora!

Szef zajął pozycję, a ja na czworakach w krzaki i dawaj naszczekiwać. I nagle wyrywa z nory lis. Szef celuje... Bach!

Patrzę — wali się chytre zwierzę na ziemię.

Oczywiście, że taki sukces uczciliśmy odpowiednio. Po szklaneczce.

Idziemy, znaczy się dalej. I nagle znów nora. Tylko już większa niż ta pierwsza...

Szef, oczywiście, zajmuje pozycję, a ja znów na czworaki — i ujadam.

Wypada z nory stara wilczyca.

Bach! Bach! — [illegible]

Trafił. Wilczyca pada. Bez jęku!

Uczciliśmy odpowiednio i ten sukces. Po jednej, drugiej szklaneczce wychyliliśmy. Za ludzi, za zwierzęta. Zakąsili — i dalej.

Idziemy, niesiemy: szef — dubeltówkę, ja — lisa i wilczycę. Spoglądamy uważnie w koło czy nory gdzie nie ma. I nagle jest! I to jaka! — Prawie legowisko!

Szef zajmuje pozycję, a ja — na czworaki. Szczekam. Jeszcze szczekam...

Nagle z młodniaka wali odyniec. Knurzysko! Nie mniejszy od wypasionego buhaja!

Bach! Bach! Bach!

Śmierć na miejscu...

— Brawo — mówię — szefie! Świetnie strzelacie!

— I tobie — mówi — brawo! Świetnie szczekasz!

Uczciliśmy i ten znaczny przecież sukces. Potężnie uczciliśmy. Wypiliśmy za ludzi, za wilków, za odyńców, za ochronę przyrody. Zakąsili — i dalej.

Ciężko jest dźwigać zdobycz. Jakby nie było: lis, wilczyca i do tego piękny i potężny dzik. Szef niesie dubeltówkę i lisa, ja resztę. Przecież nie rzucimy.

Widzimy — przed nami góra, a w niej nora. Jaka tam nora — ogromny otwór! Nawet nie otwór, a cała pieczara. Tu nie tylko niedźwiedź, lecz sam słoń żyć może. A po bokach krzaczki...

— Gruby zwierz będzie — mówię.

Zajmujemy z szefem pozycje. On — na lewo, ja — na prawo. Staję na wszystkich czterech i zaczynam poszczekiwać.

Szczekam, szczekam, a zwierz nie idzie. Jeszcze szczekam. Nic z tego, nie idzie. Szef śpieszy z pomocą! Szczekamy chórem. A zwierz, widać, ogromny — dla niego to nasze szczekanie niczym bzyczenie komarze.

Wówczas szef ogarnięty nagłą odwagą podszedł bliżej do tej ciemnej jaskini.

— Chodź — krzyczy — chodź tu!

Podchodzę. Patrzę — nad otworem tabliczka: „Uwaga pociąg".

— Mimo wszystko — mówi szef — nie możesz być zatrudniony jako seter. Szczekasz dobrze, ale węchu nie masz!

Tłumaczył: EUGENIUSZ IWANICKI

§ Cocktail-bar w zagajniku

Na wstępie pragnę zauważyć, że chodzi tu o bar młodzieżowy, ale nie typu „Monika". Zanim jednak do zagajnika dotrzemy, zobaczymy jak wyglądał jeden dzień, powiedzmy ostatni dzień wolności pewnego leworęcznego młodzieńca z ulicy Rokicińskiej. Urodzony w niedzielę bardzo się nudził w zwykły dzień tygodnia.

8.X.1972. Wstałem rano, o godzinie ósmej z minutami i wyszedłem do kiosku po papierosy. Tam spotkałem kolegę, który jest młodszym bratem tego, który chodzi z moją siostrą. Zaproponował mi pójście na mecz piłki nożnej „Zawisza" Bydgoszcz — RTS Widzew. Ponieważ było jednak trochę za wcześnie, postanowiliśmy przedtem pójść do „Widzewianki" na piwo. „Widzewianka" była jednak o tej porze zamknięta, więc udaliśmy się na róg Armii Czerwonej i Niciarnianej i zamiast piwa wypiliśmy pod kioskiem wodę sodową.

Ciecz ta budzi we mnie szczególny wstręt do świata. Ale po wypiciu wody sodowej zostało nam zaledwie 10 złotych i nie mogliśmy sobie pozwolić na kupno butelki piwa. Butelka z zastawem kosztuje 12 zł. Jakże tu bez butelki pokazać się teraz na meczu? Honor nie pozwala. Mecz odpadł, kupiłem sześć bułek, bo kolega był głodny i poszliśmy do parku naprzeciwko hali sportowej.

Poza tym nic się nie działo. Nudno. Ja zjadłem kawałek bułki, kolega ze cztery, resztę zostawiliśmy na ławce, bo były niesmaczne. Potem postanowiliśmy pojechać do domu autobusem „75-bis". Dalej nudno.

W autobusie kolega zaproponował wypicie wódki. Czemu nie? Zgodziłem się. Wysiedliśmy z autobusu i udaliśmy się pieszo w kierunku stawu zwanego Stawem Nauczyciela. Stamtąd do zagajnika, a w zagajniku laba. Kolega wyjął ze schowka wino marki „Istra", butelkę „Lacrimy", dwie butelki koniaku z inicjałami „KB", do tego wafle, konserwy i sardynki. Na miejscu wypiliśmy pół butelki koniaku. Piliśmy z butelki.

Opowiedziałem koledze film, jaki wczoraj wieczorem oglądałem w telewizji. Oglądałem zaś film amerykański i aktor grał niemowę i pokazane było jego pożycie takie, jak zdobycie sławy w roli dzwonnika z Notre-Dame, potem ożenienie się, i narodziny syna Karem, odejście żony, wychowanie syna i znowu ożenienie się. Film kończy się śmiercią aktora, który faktycznie traci mowę i głos i rozmawia z synem na migi. Następnie udaliśmy się w kierunku domu. W drodze zostaliśmy zatrzymani przez patrol MO.

Powiada się, że teraz młodzież jest miękka, słaba i szybko się do wszystkiego zraża. Grupa chłopców z okolic ulicy Rokicińskiej uparcie przez dwa lata prawie nic innego nie robiła, tylko włamywała się periodycznie do dwu upatrzonych sklepów. W przeddzień aresztowania nasz bohater telewizji raczej nie oglądał, a film zmyślił. Z miłośnikiem piłki nożnej, owszem, spotkał się, lecz nie po to, żeby pójść na mecz, ale omówić szczegóły włamania do sklepu. Należało wyczerpujące się zapasy w zagajniku uzupełnić. Ponieważ włamanie we dwójkę wydawało im się nieco uciążliwe, zaproponowali udział w imprezie dalszym dwom kolegom. Tamci właśnie niedawno wyszli na wolność. Za identyczne przestępstwo jeden odsiedział trzy, drugi cztery lata i nie mieli obaj zbyt wielkiej ochoty wracać ponownie szybko za kratki. Chcieli nacieszyć się trochę wolnością. W pierwszym momencie odmówili, jednakże pod wpływem intensywnej perswazji przyjaciół załamali się i teraz chyba tego bardzo żałują. Kompani obiecywali, że w razie wpadki zatają ich obecność, później sypali, że hej. Zresztą, czy można się dziwić złodziejom, że są nielojalni?

Rys. K. Gruber

W dniu napadu cała czwórka spotkała się o godzinie 22 na moście. O 23 udali się do pobliskiego sklepu, położonego na peryferiach, zerwali kłódkę, wyważyli drzwi łomem. Naładowali worki wszelkim delikatesowym dobrem, takim jak: koniaki, wina, papierosy, konserwy, a nawet dwa prodiże zagarnęli i maszynkę do mięsa. Był to oczywiście jeden z ich kolejnych skoków, bodajże czy nie czasem siódmy. Siódemka okazała się niefartowna. Zanieśli wszystko do pobliskiego lasku i ukryli w zagajniku. Odtąd zamierzali codziennie tutaj przychodzić i urządzać wesołe pikniki. Coś jednak nie tak wyszło. Teraz parę wiosen spędzą w cieniu krat. Zamiast leśnego barmana będzie obsługiwał ich kalifaktor.

Nazwisk nie wymieniam, ażeby zaoszczędzić wstydu rodzicom, którym po prostu nie powiodło się wychowanie synów.

KAROL BĄDZIAK

JAK ŚPIEWAĆ KLASYKÓW

FILM

Bolesław Prus, pani Eliza Orzeszkowa — śpiewani, tańczeni, nie, na ten pomysł nikt by u nas nie wpadł, ba, nikt by się nie odważył. W uznaniu dla klasyków jesteśmy chyba pierwsi w Europie i jeśli ich nie szanujemy, to tylko mimo woli i wbrew zamierzonym intencjom — tak, jak to się przydarzyło na przykład Janowi Rybkowskiemu przy okazji „Chłopów".

By zdobyć się na „brak szacunku" wobec klasyków, trzeba ich bardzo cenić i kochać oraz mieć nieco poczucia humoru, no i oczywiście, dystansu. Chluba literatury angielskiej — pan Karol Dickens słynął z wszystkich cnót powyższych, toteż zapewne wybacza swym rodakom, iż tak bezceremonialnie poczynają sobie z jego twórczością. Musical „Pickwick" przez dwa lata nie schodził z afisza teatru w Londynie, filmowy musical „Oliver" był wielkim sukcesem kasowym, a dla uczczenia setnej rocznicy śmierci Dickensa z wielkim rozmachem przygotowano śpiewaną i tańczoną „OPOWIEŚĆ WIGILIJNĄ".

Szkoda, że nie wprowadzono ją u nas na ekrany właśnie w świątecznym okresie, jesteśmy wówczas tak życzliwie wobec świata usposobieni, że zapewne i ten film bardzo by się nam podobał. Jakoś wyczucia sytuacji rynkowej u naszych dystrybutorów filmowych nadal nie ma. Bo i cóż, na dworze ni to wiosna, ni przedwiośnie, jak śnieg wygląda — zapomnieliśmy, a tu na ekranie wigilia, śnieg i dziwne przygody pana Scrooge'a, które zdarzyć się mogły tylko w wigilijną noc. A już przed wiekiem znano dobrze prawa rynku — Karol Dickens napisał „Opowieść wigilijną" w 1843 roku, w księgarniach ukazała się przed samą wigilią Bożego Narodzenia i w ciągu tygodnia sprzedano cały jej nakład. Jeśli więc filmowa historia pana Scrooge'a nie tak bardzo nam się podoba, to może to nie wina Dickensa tylko tych, co film ten zrobili i tych, co go rozpowszechniają.

Jak na film rocznicowy, a więc było nie było prestiżowy, przystało, wyłożono nań środki niemałe. Dla potrzeb inscenizacji z pieczołowitością zaprojektowano kostiumy i zrekonstruowano dickensowski Londyn XIX wieku, pobudowano dekoracje, na które, sądzić należy, nie żałowano desek, gipsu i farby. Zaangażowano też wiele angielskich sław aktorskich, na czele których stoją znani i u nas Albert Finney, Alec Guinness i Kenneth More. W tej fantastycznej baśni dla dorosłych, w której duchy i zjawy mają nieco ról do odegrania, mnóstwo popisów techniki trickowej — dzięki niej straszy się widzów godziwie, a i pozwala lecieć ku niebu i zstępować do piekieł. Jednym słowem sama wystawa musicalowej „Opowieści wigilijnej" imponować może bogactwem, to nie ulega kwestii. Tylko, że to dużo, dużo, za mało, żeby zrobić dobry film. Sukces nie ilością wydanych pieniędzy mierzyć można, o tym nie tylko autorzy tego filmu pamiętać muszą. Ale jesteśmy przy angielskim musicalu, przy realizacji którego zapomniano, że w tym gatunku widowiska liczy się żywa akcja, dobre tempo i nade wszystko muzyka i taniec — w „Opowieści wigilijnej" nie ma żadnej z tych cech. A cóż to za musical, w którym ani jedna melodia w ucho nie wpada, a żaden taniec oka nie cieszy, no, może jeden — radosny pogrzeb pana Scrooge'a, któremu dłużnicy dziękują za to, że umarł. O żywości akcji i tempie też trudno mówić, choć duchy czynią, co mogą. W świecie sennych mar nocy wigilijnej było nieco miejsca na musicalowe atrakcje, w świecie rzeczywistym miejsce na dickensowski realizm — nie wyszło ani jedno, ani drugie. Na placu boju pozostaje Albert Finney, niezapomniany Tom Jones z filmu T. Richardsona, zrealizowanego według J. Fieldinga, który i tym razem daje popis swego znakomitego aktorstwa. Scrooge młody i stary, obrzydliwy, straszny skąpiec i nawrócony, pogodny staruszek, obdarowujący swych dłużników prezentami — Finney wciela się w te wszystkie role po mistrzowsku i dźwiga w całym filmie ciężar tego, co z Dickensa zostało. Czasami tylko daje o sobie znać obecność smutnego, lecz dobrotliwego uśmiechu wielkiego pisarza. I to wszystko, co w „Opowieści wigilijnej" może się podobać, poza tym z ekranu wieje nuda, ciężka dla dorosłych i dla dzieci. Dzieci zresztą na ten film prowadzić chyba nie można, za bardzo na nim straszą, dickensowską intencję baśni dla dorosłych zrozumiano zbyt dosłownie.

Oba filmy według Dickensa zrealizowane, a więc i „Oliver" i „Opowieść wigilijna" uczą, że nie tyle z Dickensem trzeba ostrożnie, co z musicalem. Naprawdę zaś zostaje świadomość, że nie tylko nam się „rocznicowe" filmy nie udają.

EWA NURCZYŃSKA

Fakty w przybraniu anegdotycznym

KSIĄŻKA

Felieton jest echem zdarzeń bieżących i z reguły traci na wartości, gdy owe echa się oddalą. Do rzadkości należą więc autorzy, którzy publikują swoje felietonowe kartki w wyborze książkowym. Nie kwapią się zresztą do tego wydawcy. Chyba że są to dziełka uczonego dowcipu wybitnych indywidualności pisarskich, ale „Rzeczy dziwne i ciekawe" Jerzego Wilmańskiego, udostępnione przez Wydawnictwo Łódzkie, nie w każdym punkcie sięgają tego wysokiego pułapu.

Jak można wnosić z jednego z felietonów, Wilmański obrał sobie za (niedościgły) wzór sztukę felietonowania Słonimskiego; rozważając tajniki żywotności sztuki felietonowej w ogóle, Wilmański pisze o tekstach autora „Kronik tygodniowych": „Pozostaje znakomita proza dokumentująca swój czas, pozostaje literatura ze znakiem jakości, pozostaje racjonalizm, dowcip, intelekt". Niektóre tylko z tych znamion dobrego felietonu zdołał w sobie wyrobić autor „Rzeczy dziwnych i ciekawych". Czego tym rzeczom najbardziej nie dostaje, to właśnie dowcipu i intelektu.

A przyczyna tych niedostatków tkwi najpewniej w dyspozycjach wewnętrznych, temperamencie, zainteresowaniach, nastawieniu polemicznym autora. Jerzy Wilmański jest bardziej lirykiem niż krytykiem ironistą, więcej w nim rejestratora zjawisk niż tępiciela wad społecznych, instytucjonalnych, raczej więc interpretuje rzeczywistość niż pragnie ją zmienić. Prezentuje przy tym upodobania dość tradycyjne, a dążenia przede wszystkim pragmatyczne. Ale pod tym względem z kolei Słonimski niewiele by się różnił od Wilmańskiego, rzecz więc zależeć musi od czego innego.

Słonimski rzadko z kim (z czym) pozostawał w zgodzie, Wilmański zaś — mimo wzmianki, że był ciągany po sądach za obrazę — w zebranych w książce tekstach prezentuje się jako uosobienie łagodności i wyrozumiałego umiarkowania. Toteż owa wzmianka we wstępie o narażeniu się autora może wskazywać, iż trafił akurat na ludzi wyjątkowo drażliwych albo wręcz rozpieszczonych pochwałami. Bywali i bywają tacy, nie tylko w Łodzi, z którą związany jest zamieszkaniem i o której pisuje od lat autor „Rzeczy dziwnych i ciekawych".

Pisarskie „wyznanie wiary" Jerzego Wilmańskiego zawiera bodaj ten fragment felietonu: „za szkodliwe społecznie uważam wszelkie publiczne działanie skierowane w przeciwnym kierunku niż założony w polityce kulturalnej Państwa program estetycznego wychowania społeczeństwa i upowszechniania plastyki". Trzeba dodać, że nie chodzi tu tylko o plastykę i że — mimo swej ogólnikowości — jest to program comme il faut, którego Wilmański przestrzega akuratnie i z należną roztropnością.

„Rzeczy dziwne i ciekawe" są przeto dokumentem aktualnych, po większej części szperackich zainteresowań autora, człowieka — jak się już rzekło — łagodnego i taktownego, który nad ostre skrzyżowanie racji w starciu polemicznym przedkłada w miarę przekorną gawędę, uczącą wyrozumiałości i apelującą do rozsądku i poczucia humoru. Podkreśla przecież: „Jedno co można (nie tylko w jakimś jednym przypadku) radzić to łagodna pobłażliwość, filozoficzny spokój i poczucie humoru".

W swoim działaniu felietonistycznym Wilmański odwołuje się przeto do analogii, do wymownego samego w sobie przeciwstawienia, co eliminuje przerost komentarza i rezonerstwa. Szperackich zamiłowań uczył się Wilmański — co sam przyznaje — u nieżyjącego już łódzkiego dziennikarza Władysława Zambrzyckiego. Sam też najchętniej pisuje o artystach, kolekcjonerach staroci, bibliofilach; broni ciągłości tradycji kulturalnych, z największym przejęciem rozpisuje się o książkach i o rzadkich pasjach zbierackich.

Jerzy Wilmański posługuje się faktami i — jak niedzielny realista naiwny — niczego w swej sztuce felietonowej nie ukrywa, stara się natomiast ładnie o wszystkim opowiedzieć. Dowcip, ironia, szyderstwo — to cechy obce autorowi „Rzeczy dziwnych i ciekawych", prezentuje on bowiem mentalność zbieracza-konesera, toteż z form ozdobnych uznaje w swych felietonach nade wszystko anegdotę. Tym sposobem codzienne fakty chadzają u niego w malowniczym przybraniu anegdotycznym.

Jerzy Wilmański: „Rzeczy dziwne i ciekawe". Łódź, Wydawnictwo Łódzkie 1972, str. 152.

TV

WSZYSTKO ZA WSZYSTKO

Tytuł jest bardzo pierwszorzędny, jak mówi jeden z moich przyjaciół. Ale, mój Boże, kto tu daje wszystko i co za to otrzymuje? W ostatnim, niedzielnym programie z Bohdanem Tomaszewskim to pytanie towarzyszyło mi przez cały czas tej imprezy.

Zastrzegam się od razu, że osobiście red. B. Tomaszewskiego cenię najbardziej z naszych publicystów i dziennikarzy sportowych. Jeśli może brzmi to dwuznacznie i nie jest komplementem dla Tomaszewskiego, to już nie wina piszącego te słowa. I wcale też nie uważam, że dobór głównego bohatera był chybiony. Tylko...

Konwencja rozrywkowa tego typu programu jest chyba nie do przyjęcia. Bawić możemy się na sto innych sposobów i szkoda marnować nielicznych okazji interesującego starcia myśli i poglądów. Przy obowiązującej zasadzie szczerości i szacunku dla poglądów „przeciwnika." Tu wystąpiły pierwsze wątpliwości.

Dobór „przeciwników." Tylko Krzysztof Teodor Toeplitz zasiadł w swym fotelu z pełnym uzasadnieniem. On mógł i był partnerem dla Tomaszewskiego. Udział pozostałej dwójki, mimo ich doktorskich tytułów był nieporozumieniem. Pani B. Krawczyk nie reprezentowała sobą żadnej indywidualności. Pan Lipoński, ongiś olimpijczyk, to stary antagonista Tomaszewskiego, ostro się kiedyś na różnych łamach rozrabiali, nawzajem jeden drugiemu nie pozostał dłużny. I w programie wyszły stare anse, mimo obłudnych uśmieszków. W sumie drugi niewypał.

Pozostali więc na placu KTT i Tomaszewski. Nic byśmy nie stracili, gdyby usiedli naprzeciw siebie sami od początku. Byłoby tylko więcej czasu na interesujące konfrontacje. Ktoś oczywiście powinien Toeplitzowi pomagać, ale po co zaraz pchać go przed kamerę.

Mimo założeń, że ma to być program rozrywkowy znalazły się w nim akcenty okupacyjne, o czym na pewno trzeba przypominać, ale nie w takim kontekście. Kolejna niekonsekwencja doświadczonego i sprawdzonego udanymi realizacjami Mariusza Waltera. Bo jeśli w pierwszej tercji najważniejszą sprawą jest to, czy Tomaszewski mógłby być gwiazdorem filmowym i czy jego głos podnieca spotykane na ulicy panie — to wspomniane akcenty są tu jakimś nieporozumieniem.

Przy okazji poprzednich programów z tego cyklu pisano, że są one za grzeczne. I tak było również tym razem. Każdą sprzeczność poglądów próbowano szybko i pobieżnie zatrzeć. To co na pewno dzieliło rozmówców, było gdzieś na dalekim planie, niedopowiedziane, poza nami.

KŁAMSTWO

Ingmara Bergmana znamy od lat jako wybitnego reżysera filmowego współczesnej doby, autora takich filmów jak „Tam gdzie rosną poziomki", „Siódma pieczęć", „Persona". I wielu innych z których żaden nie przeszedł bez echa w światowej kinematografii. Od pewnego czasu Bergman reżyseruje również w teatrach. I pisze scenariusze dla telewizji. Jak większość współczesnych autorów posługuje się więc różnymi środkami wypowiedzi. Powiedzmy przy tym od razu — z powodzeniem.

Sztuka telewizyjna „Kłamstwo" (tłumaczenie Ariadny Bohdziewicz, reżyseria Andrzeja Łapickiego) jest tego potwierdzeniem, chociaż robi mniejsze wrażenie od poprzednich jego utworów. Jest to jednak konsekwencja podjęcia tematu współczesnego, który każdemu twórcy narzuca zrozumiałe ograniczenia. Pisałem już o tym kilkakrotnie i sztuka Bergmana jest dla mnie jakby kolejnym potwierdzeniem, że są to tematy w realizacji najtrudniejsze i nie dające wielkiej szansy autorowi na oszałamiający sukces. Tak było i tym razem, chociaż Bergman nie przegrał.

Podobnie jak w swoich filmach Bergman stawia pytania ważne, właściwie niemożliwe dla jednoznacznej interpretacji. Mówi o sensie ludzkiego istnienia, przemijania. Pokazuje człowieka w zwykłych życiowych sytuacjach i w momentach, kiedy zaczyna sam sobie zadawać pytania. I nie znajdując odpowiedzi ucieka w kłamstwo, robi unik, który niczego nie rozwiązuje na dłuższą metę. Jedno kłamstwo rodzi następne. Wszystko staje się kłamstwem. Ludzie zaczynają żyć „nie dotykając się", w luksusowych rezerwatach, z których nie ma wyjścia.

Próba takiego wyjścia, którą podejmuje bohater sztuki inżynier Andrzej kończy się klęską. W podobnej sytuacji znajdzie się jego żona Anna, którą stać na wyznanie, ale która nie potrafi odpowiedzieć na kilka podstawowych pytań. Może dlatego, że gdyby w odpowiednim czasie podjęła taką próbę nie doszłoby do rodzinnego dramatu.

Sztuka Bergmana była widowiskiem wieloobsadowym, ale były w niej tylko dwie role dla aktorów. Obie doskonale wykorzystane przez Teresę Budzisz-Krzyżanowską i Andrzeja Łapickiego, który kolejny raz potwierdził również swą klasę reżyserską. Budzisz-Krzyżanowska, jak zapowiedziano przed spektaklem, wystąpiła gościnnie. Co to znaczy, nie wiem? Jeśli krakowska aktorka występuje razem z warszawskimi kolegami, to chyba nic więcej poza sprawą aktorskiej obsady. Czyżby udział aktora spoza Warszawy w Teatrze Poniedziałkowym był takim ewenementem, że trzeba to aż tak podkreślać? Brzydkie skojarzenia przychodzą zaraz człowiekowi na myśl.

A swoją drogą nowe twarze na ekranie TV zawsze są mile widziane. Więcej, powinny być oglądane przez nas jak najczęściej.

JAROSŁAW TARNO

Obśmiewając zachęca do pracy

Jan Huszcza pierwsze dowody swojego zainteresowania satyrą złożył jeszcze przed wojną; na dobre — powodowany wyższymi potrzebami chwili — stał się jednak satyrykiem dopiero w Sielcach nad Oką, w utworzonej tam estradzie armijnej — i tak już właściwie zostało do dziś, tyle że inne, cywilne, ma na oku względy i popędy.

Huszcza pisuje więc teksty satyryczne profesjonalnie przez lat kilkadziesiąt, co pewien czas dokonuje też z nich stosownego wyboru — i wówczas ukazują się książkowe zestawy jego satyrycznych wypadów w różne dziedziny naszego dzisiejszego bytowania, mając na względzie korygowanie ludzkich wad poprzez ich obśmiewanie.

Niełatwa i wielce uciążliwa jest dola profesjonalnego rozśmieszacza-satyryka. Cóż on ma, biedak, począć, jeśli akurat dobry pomysł nie przychodzi, dowcipu wydusić nie sposób, a zbyt długie milczenie łacno sprawić może wypadnięcie z pola widzenia. Wyjście, ma się rozumieć, zawsze się znajdzie, satyra jest bowiem stara jak świat i nawiązaniem do tradycji zawsze się można wspomóc.

Co zaś jest okolicznością szczególnie szczęśliwą dla satyryków to to, że natura ludzka podlega zmianom o wiele wolniej niż na przykład urządzenia służące człowiekowi. Teraźniejszość może się przeto wesprzeć wcześniejszymi rozpoznaniami charakterologicznymi. Stąd wywodzi się wieczna aktualność niektórych tematów satyrze, podobieństwa sposobów pisania albo i wręcz przetwarzania i nieustającej aktualizacji dawniejszych pomysłów, dowcipów, powiedzonek etc.

W tym sensie dzisiejsi satyrycy nawiązują do tradycji, w tym też sensie kontynuuje również tradycję Jan Huszcza, autor świeżo wydanego „Kolokwierza", który zresztą nigdy ani się wyrzekał, ani wstydził tradycjonalizmu. Osobliwy tryb wierszowanych i kolokwialnych dociekań satyrycznych Huszczy ujmuje taki choćby ironiczny dwuwiersz z jednego z jego utworów rymowanych:

Rozpiera go ambicja.
Ileż w nim podstępu!

W zakresie zaś sposobu pisania Huszcza zabiega nade wszystko o to jedno:

Jak więc przemówić,
ludzi poruszyć?

Jan Huszcza ma już swoje lata i doświadczenie, zna na przestrzał ludzi, wie aż nadto o różnych człowieczych nawykach i nałogach, toteż — jak się już rzekło — tę sferę czyni najczęściej przedmiotem swoich absurdalizujących aranżacji, raz przewrotnie wyostrzających zjawisko, to znów przyporządkowujących wszystko prawu ośmieszającej mimikry. Biuro, zebranie, kawiarnia, przedział pociągu, wczasy — to główne miejsca satyrycznych potyczek skatalogowanych w „Kolokwiarzu".

Życie w ujęciu Huszczy nie bywa więc ani komedią ani tragedią, lecz czymś w rodzaju baśni z odpowiednim morałem. A że te baśnie rzadko bywają zabawne i śmieszne, to już nie zależy od autora, ale od uchybień we współżyciu społecznym oraz od słabości natury ludzkiej, która nie poddaje się zmianom, co sprawia, że satyra nie traci rychło swojej aktualności, a satyrykom długo jeszcze nie braknie sposobności do wydawania orzeczeń.

Porównując teksty „Kolokwiarza" z niedawno wydanymi przez łódzką oficynę „Rzeczami dziwnymi i ciekawymi" Jerzego Wilmańskiego łatwo spotrzec, że Huszcza równie dobrze jak Wilmański zna fakty, tyle że umie ich substancję zdarzeniową oderwać od właściwego podłoża i nadać im postać uogólnienia.

Jan Huszcza satyrę uprawia ostatnimi czasy raczej na marginesie prac poetyckich, nowelistycznych i przekładowych; nie pisze więc w sytuacji przymusowej, a jego fraszki, humoreski i żarty narracyjne zyskują właśnie przez to na ogólności i więcej mają w sobie elementów zabawy literackiej niż chęci poprawiania natury człowieczej za wszelką cenę.

Oprócz ośmieszania wad — uprawianego nieledwie con amore — autor „Kolokwiarza" coraz częściej wykorzystuje przeto czynnik zawstydzania. I w tym widziałbym najistotniejsze novum w jego najświeższych dywagacjach satyrycznych.

FELIKS FORNALCZYK

Jan Huszcza: „Kolokwiarz". Łódź, Wydawnictwo Łódzkie 1972, str. 236.

UWAGA! TRUCIZNA...

Trzeba było wieków, żeby pojawiła się busola. Od momentu, gdy Kepler sformułował teorię ruchu planet do chwili, kiedy Newton odkrył prawo powszechnego ciążenia upłynęło sto lat.

Jednakże już w pierwszej połowie naszego wieku odstęp czasu między pojawieniem się teorii względności, a Hiroszimą zmniejszył się do 35 lat... Jeszcze mniej czasu minęło od wystrzelenia pierwszego sputnika do początków naukowej penetracji Księżyca.

Dziś idee, zarówno te mądre, jak i te głupie rozprzestrzeniają się z oszalamiającą szybkością: mody, nowe produkty, towary, przeróżne wzorce życia i myśli. Nowości techniczne zalewają planetę w ciągu paru lat, a nawet miesięcy. We wszystkim dominuje pośpiech, świat opanowała gorączka „wielkich premier".

Na rynek rzuca się wciąż nowe leki, następnie, niestety, o wiele za późno, okazuje się, iż działają one szkodliwie na genetyczny mechanizm człowieka. Rozkręca się masową produkcję pestycydów, które skutecznie niszczą pewne rodzaje pasożytów. Aż tu nagle, gdy zła nie da się już naprawić, uderza się na alarm, że wprawdzie niszczą one jedne pasożyty, ale jednocześnie stwarzają pomyślne warunki dla rozwoju innych, nie mniej szkodliwych, wobec których człowiek jest bezbronny.

KULT „NOWOŚCI"

W tej nieustannej pogoni za „nowinkami" przemysłowiec szuka wysokich zysków. Potęguje ją do kwadratu chciwość koncernu chemicznego, reklama, głosząca kult „nowości".

W biurach i laboratoriach zachodnich tworzy się prawdziwe mitologie „supernowego" i „superniebywałego". W przeciągu kilku lat wytwarza się i rzuca na rynek tysiące nowych produktów, armia specjalistów różnych dziedzin zajęta jest wyłącznie poszukiwaniem „czegoś ekstra nowego, co zadziwi świat". Nauka, która zawsze stała u kolebki odkryć, doznała już niejednego wstrząsu. Od czasu do czasu obarcza winą niesumiennego eksperymentatora lub nieostrożnego przemysłowca. Mimo to bierze udział w tej grze i zbijaniu kapitału na ogólnej psychozie pogoni za modnym, nowym towarem.

Nie można pominąć faktu, iż pęd do odkryć sprzyjał polepszaniu warunków bytu. Nie rozwiązano jednak wielu palących problemów, podczas, gdy ogromne ilości energii, środków i surowców idzie na produkcję atrakcyjnych głupstewek. Częstokroć więcej korzyści materialnych przynosi wytwarzanie środków uspokajających, niż badania nad powstawaniem ciężkich, ale „deficytowych" chorób. W konsekwencji w jednych rejonach świata fabrykuje się wyłącznie przedmioty zbytku, a w innych brak ludziom niezbędnych przedmiotów codziennego użytku.

O MIEJSCE POD SŁOŃCEM

Bogactwami naszej planety szafuje się lekko i bezsensownie. Fatalny błąd, gdyż wyczerpują się one szybciej niż dwadzieścia lat temu, podczas gdy potrzeby i wymagania ludzi rosną z błyskawiczną szybkością. W roku dwutysięcznym liczba ludności na kuli ziemskiej podwoi się, w porównaniu z latami sześćdziesiątymi naszego stulecia. Miejsce pod słońcem będzie bardzo drogie.

Obecnie połowa ludzi na Ziemi jest uzależniona, w mniejszym lub większym stopniu, od stosowania nawozów sztucznych. Trzeba podwoić ich produkcję, użyźnić nowe ziemie, żeby utrzymać wyżywienie na obecnym poziomie. A przecież nie można go uznać za zadowalający, ponieważ dwóch ludzi na trzech cierpi dziś na niedożywienie. Światowa produkcja produktów białkowych wzrasta rocznie o około 1,5 procenta, ale i ten wzrost, na pewno wysoki, jest niedostateczny, bowiem przy tym tempie wzrostu, do roku 1985, średnia racja białka dla każdego mieszkańca krajów słabo rozwiniętych zmniejszy się z 14,4 grama do 9,6 grama. Ale także i kraje bogatsze zaczną z wolna odczuwać niedostatek produktów białkowych.

PERSPEKTYWY XXIV WIEKU

Potrzeba było tysiąca lat, żeby ludność na Ziemi osiągnęła imponującą liczbę trzech miliardów. Jeśli obecne tempo wzrostu ludności nie ulegnie zmianie, to już za 30 lat liczba ludności na Ziemi osiągnie 6 miliardów. A gdy minie jeszcze 400 lat, na każdego człowieka na naszej planecie przypadnie nie więcej, niż jeden metr kwadratowy powierzchni ziemi.

Nawet jeśli ludność XXIV wieku zaorze wszystkie ziemie, leżące dotąd odłogiem, nie uniknie problemu głodu. Na razie wiele ziemi nie nadaje się pod uprawę. Na 20 procentach powierzchni ziemskiej panują chłody, 20 procent zajmują pustynie, 20 procent pokrywają góry, a 10 procent powierzchni Ziemi ma zbyt cienką warstwę gruntów, by można na nich cokolwiek uprawiać.

Na pozostałej jednej trzeciej powierzchni Ziemi istnieją warunki do produkcji rolnej, ale i ta ziemia jest wykorzystywana zaledwie w połowie. Można oczywiście powiększyć areał ziem uprawnych, tylko jak? Wraz ze wzrostem liczby ludności rosną indywidualne potrzeby ludzi, coraz więcej miejsca zajmują fabryki i inne przedsiębiorstwa przemysłowe, autostrady i lotniska. Niektóre rozwinięte kraje zachodnie, jak na przykład zachodnie Niemcy i Belgia przemieniają się stopniowo w zwarty obszar miejski (w sensie socjologicznym), a ich gospodarkę rolną spycha się do rejonów najmniej przydatnych, w których rolnictwo egzystuje li tylko umownie.

Za każdym razem, kiedy przez pola i lasy prowadzi się nową autostradę, beton wyznacza nie tylko linię wywłaszczenia; nowa droga powoduje zmiany w całym otaczającym ją środowisku: w miejscu osiedli czy farm wyrastają fabryczne mury, lasy roją się od domków weekendowych.

DEFICYT WODY

W odróżnieniu od innych bogactw przyrody, wodne zapasy Ziemi są stałe. Woda zajmuje wielkie obszary powierzchni Ziemi. Siedem dziesiątych planety pokrywają oceany, jeziora i rzeki. Człowiek potrzebuje do życia dwa litry wody dziennie. W skali świata jest to bardzo duża ilość, gdyż woda do picia stanowi zaledwie dwa procent całej masy zasobów wodnych Ziemi. Ale biologiczne potrzeby człowieka są znikome w porównaniu z kolosalną ilością wody, którą zużywa przemysł i gospodarka rolna. Na przykład w Stanach Zjednoczonych roczne zużycie wody wynosi 8 miliardów litrów na jednego mieszkańca.

Niektóre rozwinięte kraje Zachodu zaczynają już odczuwać deficyt wody. Bruksela nie jest jedynym krajem na świecie, w którym latem zamiera wodociąg. Mieszkańcy Londynu używają wodę, która pięć lub sześć razy przechodzi przez urządzenia oczyszczające w miastach, leżących w górnym biegu Tamizy.

Dzięki nowoczesnym metodom oczyszczania wody można by bez obawy sprowadzać wody ściekowe do rzek. Jednakże postęp techniczny w przemyśle jest szybszy, niż w miejskich laboratoriach. Zapotrzebowanie na wodę rośnie szybciej, niż budowa urządzeń oczyszczających. Z powodu braku międzynarodowych konwencji w sprawie sprowadzania wód ściekowych do rzek, w różnych krajach przekształca się rzeki w kloaki, właśnie w tych miejscach, w których wpływają one na terytoria sąsiednich krajów.

DWA OBLICZA CHEMII

Byłoby głupotą rzucać anatemę na chemię. Wszystko wokół nas jest chemią. To ona pomaga człowiekowi w niełatwej walce ze szkodnikami na polach uprawnych, ułatwia mu podwyższanie plonów i wzrost wydajności hodowli zwierząt. Więc nie o to chodzi. Po prostu rodzi się problem: czy w warunkach bezlitosnej konkurencji i ekonomicznego współzawodnictwa nie zamykamy przypadkiem oczu na zbyt wiele ujemnych zjawisk i zadowalamy się tylko powierzchowną kontrolą produkcji? Przemysłowców, rzucających na rynki nowy produkt, nie interesuje kwestia: czy nie zatruje on ziemi na długie lata, czy w wyniku reakcji z jakimś innym produktem, nie nabierze niebezpiecznych, trujących właściwości, czy nie spowoduje nieznanych dotąd chorób. Czy nie naruszy ekologicznej równowagi, sprzyjając na przykład rozwojowi nowych bakterii, w miejsce zniszczonych?

Koncerny chemiczne — czytamy na łamach pism zachodnich — kierują cały swój wysiłek wyłącznie na „odkrycia" i niesłychane rozkręcanie produkcji. Dopiero po jakimś kolejnym tragicznym wydarzeniu zaczyna się „szeroka dyskusja o konieczności kontroli nad nową produkcją".

Na Zachodzie aspekty tego problemu nie interesują absolutnie nikogo. Ani władz, które nie zatroszczyły się o ustanowienie kontroli nad masą produktów chemicznych, wypuszczanych na rynek, ani przemysłowców, którzy dążą do szybkiego wycofania kapitałów, zaangażowanych w pracach badawczych, ani wreszcie samych konsumentów, którzy myślą wyłącznie o skuteczności kupowanych „komponentów". A stopień skażenia naturalnego środowiska człowieka jest już tak wysoki, że wzbudza powszechne przerażenie.

Czyżby roczny bilans zysków usprawiedliwiał stopniowe zatruwanie naszej planety?

Oprac. J. CZECH

COLETTE

Nazywano ją patetycznie „kapłanką instynktów, zmysłów i ciała". Była świetną dziennikarką i reporterką, krytykiem muzycznym o dużym znawstwie, aktoreczką obnażającą swe wdzięki w podrzędnych teatrzykach i jedną z najbardziej utalentowanych francuskich powieściopisarek.

Początki jej kariery literackiej do dziś nie są dla nas zbyt jasne, choć jeden z ostatnich numerów paryskiego **„Le Figaro Littéraire"**, głosi: **„Tajemnica Klaudyn nareszcie wyjaśniona"**.

Opowiedzmy pokrótce o jakie to „Klaudyny" chodzi i o jaką tajemnicę.

Od lat toczył się spór kto jest właściwym autorem wydawanego w latach 1900—1905 cyklu powieściowego **„Klaudyna w szkole"**, **„Klaudyna w Paryżu"**, **„Małżeństwo Klaudyny"**, **„Klaudyna odchodzi"**, książek podpisywanych początkowo: **„Willy"**, takie bowiem imię miał mąż Colette. Sama Colette opowiedziała, że jej mąż, dziennikarz i krytyk muzyczny z zawodu, namówił ją do napisania wspomnień szkolnych. Colette zapisała kilka zeszytów. Jednakże Willy po przeczytaniu oznajmić miał, że pisanina Colette do druku się nie nadaje. W dwa lata później porządkując szuflady swego biurka natknął się na owe zeszyty, przerzucił je, wykrzyknął; **„Jakiż dureń ze mnie"** — zgarnął zeszyty, chwycił swój kapelusz z płaskim rondem i... pobiegł do wydawcy. **„Tak zostałam pisarką"** — stwierdziła Colette. Dalej wyjaśniła, że to jej mąż, z którym się rozeszła, namawiał ją do dodawania pikantnych scen. W listach jednak do Rachilde'a, redaktora naczelnego pisma **„Mercure de France"**, pisanych w roku 1900, a które po raz pierwszy publikuje **„Le Figaro Littéraire"** sama Colette twierdzi coś wręcz przeciwnego. Oto jak wynika z jej listu, to właśnie Willy, o którym Colette wyraża się w liście bardzo serdecznie, tuszował zbyt rażące sceny w rękopisie żony i on to przygotował powieść tak, by nadawała się do druku. Trudno jednak z niezachwianą pewnością stwierdzić, kiedy Colette mówiła prawdę. Czy wtedy gdy była żoną Willy'ego, czy też wtedy gdy już się z nim rozeszła i swego byłego męża nazywała człowiekiem, **„który wydał pod swym nazwiskiem nie wiem ile tomów, a nie napisał z nich żadnego..."**.

Przypomnijmy, że cykl powieści o Klaudynie (wydany następnie już pod nazwiskiem Colette) spotkał się z ogromną poczytnością, inspirował modę, teatr, kosmetyki. W dalszych swych książkach Colette ujawniła swój wielki talent. Jej powieści miały szalone powodzenie. Później, po jej śmierci, gdy pojawiły się nowe, modne sławy literackie, pisarstwo Colette było niemal zapomniane. Dziś jednak postać i twórczość tej niezwykłej kobiety budzi we Francji znów żywe zainteresowanie. Francuski świat intelektualny uznał rok bieżący za **„Rok Colette"**. Stulecie urodzin pisarki uczczone zostanie licznymi imprezami. I tak np. wydany ma być okolicznościowy znaczek pocztowy z wizerunkiem Colette z okazji uroczystości jubileuszowych, jakie odbędą się w Saint-Sauveur-en-Puisaye rodzinnej wsi powieściopisarki, następnie jej pamięć uczci Saint-Tropez, gdzie spędziła lato 1925 roku. W Paryżu telewizja i radio przygotowały już audycje o Colette, a Biblioteka Narodowa urządza specjalną wystawę, która zostanie otwarta w maju br., a trwać będzie do połowy września. Przypomnijmy, że Colette stała się bohaterką musicalu Jonesa. Przedstawienie grane w roku 1970 na Brodwayu wywołało w swoim czasie duże zainteresowanie.

Sidonie-Gabrielle Colette urodziła się w małej miejscowości burgundzkiej 28 stycznia 1873 roku. Od swej matki, do której była bardzo przywiązana i o której napisze później książkę pt. **„Sido"**, Colette przejęła umiłowanie przyrody, trafność obserwacji, trzeźwe spojrzenie na życie. Pod jej wpływem pisarka wyostrzy sobie wrażliwość zmysłów, wzroku, węchu, słuchu na podniety otaczającego ją świata. Wynosząc jeszcze z domu miłość do żywej przyrody Colette napisze później kilka książek o zwierzętach jak **„Rozmowy o zwierzętach"** czy **„Kotka"**.

Gdy Colette ma dwadzieścia lat wychodzi za mąż za **Henri Gauthier Villarsa** podpisującego swe pisarskie prace jako Willy. Sidonie-Gabrielle, ta prowincjonalna panienka wychowana na tradycyjnej wsi burgundzkiej w surowych zasadach moralnych, po wyjściu za mąż rzuca się w wir paryskiego życia, poznaje je z wielką ciekawością, ale i z niezwykle ostrym sposobem widzenia. Wrażenia te opisze m. in. w powieści pt. **„Klaudyna w Paryżu"**, gdzie bohaterka, młoda dziewczyna z Burgundii obraca się w rozmaitych środowiskach stolicy.

W roku 1906 Colette tak rwąca się do samodzielnego życia, łamiąca konwenanse obyczajowe, żądająca w swym pisarstwie równości z mężczyzną, także w sprawach moralności, rozchodzi się z mężem. Młoda, śliczna kobietka, o niewątpliwym talencie pisarskim, przez jakiś czas staje się gwiazdą estradową podrzędnych teatrzyków, a jej rola polega głównie na rozbieraniu się. A zbudowana jest wspaniale i w guście epoki. Pamiętajmy, że w końcu ubiegłego wieku i na początku naszego, kobiety ubierały się w niezliczoną ilość bielizny i stroików. Jakimż więc wstrząsem dla publiczności było kolejne wyłuskiwanie się kobiety, jak z łupin, z tych wszystkich szatek, jakie na sobie miała. Colette, młoda, pełna wdzięku, o pięknych piersiach, staje się jedną z najbardziej poszukiwanych przez teatrzyki aktorką w sztuce rozbierania się (słowo strip-tease jeszcze nie istniało). Wkrótce jednak Colette rzuca to zajęcie poświęcając się wyłącznie pisarstwu. Pierwszą jej powieścią, wydaną pod własnym nazwiskiem, jest **„Włóczęga"** oparta na doświadczeniach i obserwacjach z życia podrzędnych teatrzyków, w których tak niedawno sama jeszcze występowała. Już w cyklu o **„Klaudynie"** zarysowała się, a teraz w dalszych powieściach coraz bardziej ujawnia się istota pisarstwa Colette — subtelność analizy psychologicznej. Niemal wyłącznym zaś tematem jej powieści jest miłość w różnych formach i przejawach. Miłość, w której naturalne, głębokie uczucie łączy się zawsze i nierozerwalnie z przeżyciem zmysłowym. Jak na lata w których Colette pisała, jest wyjątkowo szczera, odważna, bezkompromisowa. W powieściach, tak bardzo opartych na własnej biografii, mocuje się autorka z potrzebą osobistej niezależności, upodobaniem do wiecznych zmian, a tęsknotą do własnego spokojnego szczęścia i życiowej stabilizacji.

W roku 1936 Królewska Akademia Belgijska przyjmuje Colette w poczet swych członków. W roku 1945 pisarka zostaje członkiem Akademii Goncourtów.

Napisała około tzydziestu powieści. Dwukrotnie rozwiedziona, trzykrotnie wychodziła za mąż. Z drugim mężem miała córkę. Zmarła w roku 1954 w wieku 81 lat.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEOŁŁOŚĆ teraźniejszość

Niemcy a my - inaczej

„A jeśli nawet współczesne pokolenie nie jest w stanie ocenić tego dobroczynnego aktu państwowego, to niewątpliwie przyszłe pokolenia będą błogosławić fakt, że Polska jako Polska nie istnieje". Zapomniany cytat, bo któż dzisiaj pamięta, jak oceniał ostateczny rozbiór dawnej Rzeczypospolitej feldmarszałek Richard Joachim Moellendorf w broszurze, ogłoszonej w 1797 roku w Berlinie? Ale zawarty w tych słowach pogląd znamy zbyt dobrze: słyszeliśmy go wielekroć z ust innych, późniejszych spadkobierców fryderycjańskiej polityki w stosunku do naszego kraju. Jeżeli jednak przypominam dziś słowa Moellendorfa, to na pewno nie po to, aby dorzucić jeszcze jedną wypowiedź do zbyt długiej przecież antologii podobnych zdań o Polsce, jaką dałoby się zestawić na podstawie niemieckiego piśmiennictwa z ostatnich lat dwustu. Zwracam na nie uwagę ze względu na zawarty w nich akcent polemiczny. Nie w stosunku do nas bynajmniej, bo z pokonanymi pan feldmarszałek nie dyskutował ale w stosunku do innych współczesnych Niemców. Tych, którzy nie akceptowali zaborczej polityki Prus wobec polskiego sąsiada, tych którzy mniej lub bardziej otwarcie poddawali krytyce udział Niemców w rozbiorach dawnej Polski.

Nie byli oni liczni — to prawda — ale przecież ich głos był na tyle silny, że różni Moellendorfowie, tak w końcu XVIII stulecia jak później, musieli z nim podejmować dyskusję.

Po pierwszym rozbiorze wielki humanista Johann Gottfried Herder napisał wzorowaną na Ezopowej bajkę, w której pruski wilk łaskawie pożerał polską owcę (1773). W tym samym czasie w obronie Rzeczypospolitej wystąpił w piśmie „Teutscher Merkur" Christoph Martin Wieland (1773), a w rok później Friedrich Daniel Schubart skreślił płomienny wiersz „Polonia", dając tym dowód swej sympatii dla Polski i współczucia dla jej losu. W obronie dobrego imienia powstańców walczących pod wodzą Tadeusza Kościuszki wystąpił postępowy publicysta A. G. von Rebmann pisząc:

„Polacy nie są rebeliantami. (... Czy jaki rozsądny człowiek może nazwać Polaków pod Kościuszką rebeliantami? Kto tak nazywa Amerykanów z okresu władzy Waszyngtona? Wyrażają się tak tylko rządy angielskie i rosyjskie oraz ich manifestanci. Może tak mówić jakiś dworak w Weimarze, ale nie człowiek prawy oraz uczony. Gdyby tak było, to moglibyśmy nazwać także rebeliantami Anglików pod dowództwem Wilhelma Orańskiego".

Wbrew pozorom takich bądź podobnych wypowiedzi piśmiennictwo niemieckie przekazało nam wiele, nie tylko z końca XVIII stulecia, ale również z czasów późniejszych. Jakże znamienny jest przecież fakt, że utwór, który zajął poczesne miejsce w polskiej poezji patriotycznej, mianowicie wiersz „Pułk czwarty", rozpoczynający się od każdemu znanych słów:

„Walecznych tysiąc opuszcza Warszawę,
Przysięga klęcząc: „Naszym świadkiem Bóg!
Z bagnetem w ręku pójdziem w świętą sprawę,
Śmierć hasłem naszym, niechaj zadrży wróg!"
I dobosz zagrzmiał, już sojusz zawarty,
Z panewką próżną idzie w bój pułk czwarty".

Ten właśnie wiersz z czasów powstania listopadowego, który stał się polską patriotyczną pieśnią, jest dziełem niemieckiego poety i dramaturga Juliusa Mosera. W oryginale nosi on tytuł: „Die letzten Zehn vom Vierten Regiment", a znamy go w przekładzie Jana Nepomucena Kamińskiego. Melodia została zaczerpnięta z dawnej piosenki z czasów napoleońskich. I jeszcze słowa Heinricha Heinego:

„Nie, Polska jeszcze nie zginęła. Z jej polityczną egzystencją nie zakończyło się jej życie. Tak jak niegdyś Izrael po upadku Jerozolimy, tak i naród polski podniesie się po upadku Warszawy. Temu narodowi historia zastrzegła jeszcze czyny, które więcej znaczą od zwykłych bitew i brzęku miecza. Na pewno Polska jeszcze nie zginęła, a jej życie nie ogranicza się tylko do kart historii".

Garść innych niemieckich zdań o Polsce i Polakach, niemieckich, chociaż nie wyszły one z ust cesarzy, królów, książąt, feldmarszałków czy ministrów. Głos innych Niemiec, niż ten, który rozkazywał maszerować zbrojno „nach Warschau".

Wielki dramat niemieckiej i polskiej historii. Historyk z uwagą tropi w nowoczesnych dziejach Niemiec ścieranie się sił militaryzmu i liberalizmu, wsłuchuje się w głosy różnych Niemców, coraz lepiej zdaje sobie sprawę z ich zróżnicowania, ujawnia siły społeczne, które odegrały sprawczą rolę w polityce naszego sąsiada, która nas tak wiele miała kosztować. Walczy z jednoznacznym schematem, przełamuje — również w samym sobie — tradycję najgorszych doznań. Stara się zrozumieć historyczne podglebie teraźniejszości. Boć przecież, myśląc historycznie, nie może rozpatrywać przemian dokonujących się we współczesności, w oderwaniu od ich dziejowych uwarunkowań. Czy nowy, lepszy kształt stosunków między obu narodami, jaki rysuje nam dzień dzisiejszy, byłby do pomyślenia bez tych dziejowych antecedencji?

LEKTOR

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

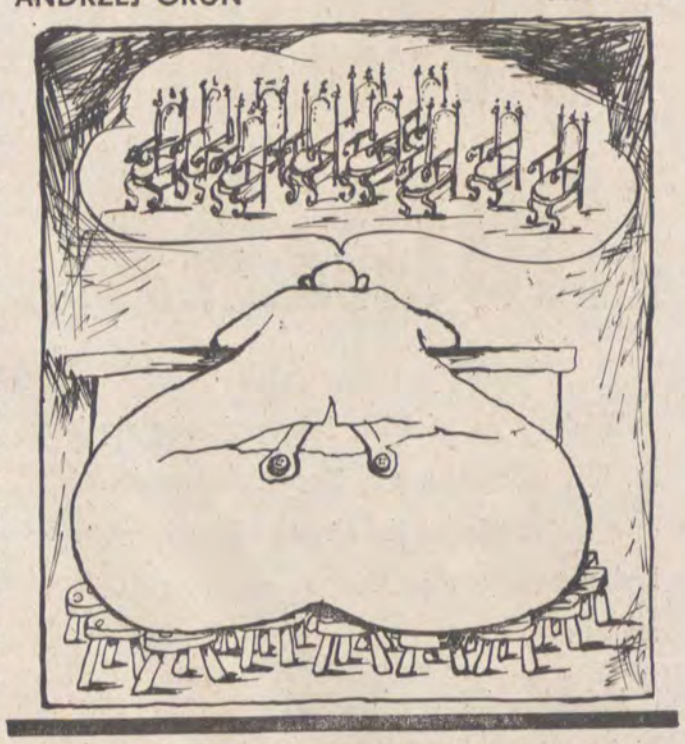

ZdarzeniA • I • ZwierzeniA

„Artysta, psiakrew..."

Stara anegdotka mówi o tym, jak nauczyciel zwraca się do ojca:

„Proszę pana, ja bardzo przepraszam, ale pański Józio powinien się częściej myć! Higiena osobista jest ważną rzeczą — wstyd powiedzieć, że Józia wstręt do wody i mydła dosłownie c z u j e się w klasie..."

A na to ojciec odpowiada: „Mój Józio nie jest kwiatek —. jego nie trzeba wąchać, jego trzeba uczyć..."

Przypomniała mi się ta enegdota, kiedy ponoć dwa tysiące widzów z Piotrkowa pomstowało na odwołanie występów Urszuli Sipińskiej i Andrzeja Dąbrowskiego. „Artyści, psiakrew..." — mówiono w Piotrkowie i gazety podchwyciły ten ton. Uszły uwadze takie drobiazgi, że na sali było zimno, że za kulisami nie było luster ani... nawet misek z wodą.

Potem wybuchła następna „bomba". Urszula Sipińska domagała się w łódzkim hotelu... pokoju z łazienką. Zupełna rozpusta, artystka, psiakrew... Tylko, że jeśli nie można zmyć szminki po występie, to przynajmniej warto się umyć w hotelu. Ta prosta higieniczna zasada też jakoś uszła uwagi.

Jak to pisał Jerzy Paczkowski: „...za dużo święconej wody, za mało zwykłego mydła".

Artysta nie kwiatek — może marznąć, może brzydko pachnieć, ale powinien śpiewać, bawić i nie stroić fochów. Tylko, że znów uszła uwadze prosta prawda, że bawienie publiki jest taką pracą, że zasady bhp stosują się do wszystkich obywateli PRL. Widzę już takiego dyrektora kopalni, który nie zadba o to, aby górnicy po pracy nie mogli się umyć! Widzę już takiego dyrektora tkalni, który włókniarkom każe pracować w nieogrzanej hali. Szybko by „prześwięcono" taką administrację.

Tu jednak — o dziwo — „prześwięca" się artystów. Nie administrację „Estrady Łódzkiej", która nabiera dwa tysiące widzów na kupno biletów, cały swój wysiłek kierując na handlową stronę imprezy — nie dbając o jakie-takie minimum dla pracujących artystów. „Artysta, psiakrew..." mówi się w Piotrkowie, zamiast wołać: „Estrada, do jasnej cholery...". Nie pierwszy to raz zdarza się sytuacja, że artystów stawia się w sytuacji przymusowej. Bilety wykupione, sala pełna — więc graj artysto i śpiewaj, choć szminka tężeje na zimnie, choć ręce grabieją na instrumentach. Artyści najczęściej ulegają owej presji pełnej sali, wiedząc, że odmowa występu zwali gromy na ich głowy, a nie na indolencję organizatorów. Pana Kowalskiego z „Estrady" nikt nie zna — Sipińską znają wszyscy; publiczność przychodzi, aby obejrzeć Dąbrowskiego, a nie urzędnika z „Estrady" — jeśli koncert nie dochodzi do skutku, winien jest Dąbrowski, nie Kowalski...

Osobiście nie zachwycam się Sipińską, ale ci, którzy przyszli słuchać jej piosenek, widać ją lubią; współczuję im, że nie mogli obejrzeć koncertu, ale myślę, że dobrze się stało. Trzeba się uczyć porządku i solidności. Artyści są od tego, żeby przygotować program — organizatorzy są od tego, aby przygotować warunki pracy artystom.

Niestety — ścisła specjalizacja zadań i podział kompetencji sprowadza się u nas — jakże często — do podziału na tych za kulisami i tych w świetle reflektorów, na których zawsze można oskarżycielsko wskazać palcem.

Artysta jest jak ten „chłopiec do bicia" w baśni Marka Twaina. Jeśli artysta występuje dużo w filmie, telewizji i na estradzie — publiczność ma mu za złe, że „chałturzy". Jeśli artysta ograniczy działalność — publiczność ma mu za złe, że się „izoluje". Jeśli artysta występuje głównie w kraju, publiczność go nie ceni, bo „nie angażuje go zagranica". Jeśli artysta podpisuje kontrakty zagraniczne — publiczność go potępia, że „gardzi ojczyzną"...

Umyka natomiast z pola widzenia publiczności fakt, że nie ma u nas przemyślanej, długoplanowej polityki artystycznej, że lansowanie i przemilczanie zjawisk artystycznych odbywa się na zasadzie dowolności i przypadku (ktoś kogoś zna lub ktoś kogoś nie zna), że nie ma impresaria z prawdziwego zdarzenia, tylko są d y r e k c j e, które z równą beztroską wystawiają do wiatru zarówno artystów jak i publiczność.

Do wiatru wystawiono nie tylko piotrkowskich widzów, ale także artystów. Ktoś konkretny, o konkretnym nazwisku zawalił sprawę. Niestety nie dowiem się tego nazwiska, nie będą gazety stawiać go pod pręgierz. Taki już jest los publicznej działalności — stanowi zawsze najwygodniejszy cel.

Za kulisami siedzą ludzie poruszający nitkami organizacji i administracji. Czasem te nici splączą się i porwą, ale z widowni tego nie widać. Na scenie, w świetle reflektorów stoi samotny artysta, zaangażowany przez dyrekcję. Od czasu do czasu kolejny dyrektor wylatuje na zbity łeb, pani Basia z księgowości awansuje do działu artystycznego, ktoś czegoś nie dopilnuje, wali się dekoracja, albo gaśnie światło...

Wówczas widownia gwiżdże i tupie, ale ten gwizd adresowany jest tylko do artysty. Widowni kulisy nie obchodzą.

Myślę więc, że dobrze się stało, iż w Piotrkowie artyści podnieśli bunt. Zrobili to — wierzcie mi — w interesie widowni.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

Ucz się, chłopcze!...

Pół wieku to wcale nie dużo w życiu narodu. Pół wieku temu, w roku 1925, pisał ruchliwy wówczas publicysta obozu bardzo narodowego, Aleksander Jaxa Bykowski, w „Przeglądzie Wszechpolskim" (nazwa mówi za siebie...): „Dążenie niektórych jednostek, nawet partyj, by szkoła średnia była dalszym ciągiem powszechnej i stała się z czasem dla ogółu dostępna, uważam za szkodliwą mrzonkę; mogłoby się to stać przy dalszem jeszcze obniżaniu poziomu naukowego szkoły średniej, co bez grozy obniżania kultury jest niemożliwe, a przeciwnie musimy się domagać ograniczenia ilości na korzyść jak największej wartości gimnazjów".

W tym samym artykule („O program i konsekwencję w szkolnictwie" — tytuł jakże nam znajomy i aktualny) pisze pan Jaxa:

„Nadmiar gimnazjów uważam wprost za groźny objaw chorobowy".

Dowiadujemy się — zresztą nie bez zdziwienia — że w 1923 roku Polska liczyła 787 gimnazjów, Czechosłowacja — 117, a Francja — 470! We Francji 39 uczniów na 10 tysięcy mieszkańców, u nas — 83!! Co nie przeszkadzało, że mieliśmy jeden z największych w Europie odsetek analfabetów i że znaczna część absolwentów gimnazjów powiększała z roku na rok szeregi najbiedniejszych, zdeklasowanych, bezrobotnych i społecznie mało przydatnych, bo nie mających zawodu, inteligentów. Zasilali szeregi nędzarzy, bo dopiero studia wyższe dawały względną szansę życiową, a studia były drogie.

Albowiem przez pół wieku wszystko się diametralnie odwróciło: wówczas studen płacił — i to ciężkie pieniądze — za możność nauki. Kupował — i to drogo — wiedzę, dyplom, szansę. Dziś studentowi się płaci, żeby nie odechciało mu się uczyć. Dziś mówi się o szkole średniej w każdej gminie i o bliskiej już perspektywie powszechnego nauczania średniego. W ogóle o szkolnictwie mówi się ciągle, wciąż się coś ulepsza, koryguje, udoskonala. Pomysłów nie brak.

Żeby nie straszyć dzieciaka szkołą, zapowiada się, że w klasach od pierwszej do czwartej wszyscy będą otrzymywać promocję. Nie martwcie się, kochani, nie musicie na nic zasługiwać. Może to jest pedagogicznie, nie wiem, żałuję tylko że podobna zasada nie obowiązuje w wojsku, w banku i w biurze. Tu nie każdy otrzymuje promocję, niejeden siedzi w tej samej klasie całe życie. Oprócz promocji dzieciom nie będzie się zadawać do domu. Potem, jak podrosną, da im się stypendium, za każdą piątkę dostaną premię jak piłkarz za strzelenie bramki, a jeżeli nie stracą ochoty i skończą naprawdę studia — zapłaci się każdemu trzy tysiące. Być może jednak, że lepiej brać stypendium jeszcze przez rok, dwa lub trzy, niż raz jeden dostać trzy patyki i potem co? Staż za połowę poprzedniej sumy?

Nie myślę, żeby powstał zawód studenta. Ani nawet nie przypuszczam, że młodzi ludzie rzucą się na najłatwiejsze kierunki studiów (bo przecież są łatwiejsze i trudniejsze), gdzie o piątkę łatwiej niż gdzie indziej o trójczynę, więc i premie będą murowane bez większego wysiłku. Tak myślą niektórzy aktualni studenci, wypowiadający się w „Kulturze" z 28 stycznia.

Natomiast w „Literaturze" z 18 stycznia mówi pracownik naukowy szkoły wyższej, Mariusz Adam Jakubowski:

„Większość do tej pory stosowanych bodźców jak nagrody lub pochwały tylko przeszkadzają w rozwinięciu się wewnętrznej chęci do nauki. Ponieważ niektórzy studenci pragną sukcesów w formie nagrody rektorskiej, uczą się na pamięć wybranych zagadnień, wyrzekając się własnego punktu widzenia, popełniają tym samym nadużycie w stosunku do własnej psychiki i zamiast poważnie zastanowić się nad istotnym sensem studiowanego przedmiotu, zaczynają przyswajać gotowe i zaakceptowane przez innych odpowiedzi na kontrowersyjne tematy".

Niewątpliwie należy wyróżniać studentów — i w ogóle ludzi zawsze i wszędzie — zdolnych, pracowitych ambitnych. Stypendia dla zdolnych są absolutnie słuszne. No, tylko żeby znów tego nie sformalizować. Żeby stypendium było za talent i rzetelność, a nie za dobry stopień na cenzurce, bo to nie to samo. Cena za stopień może spowodować uruchomienie całej przemyślnej dyplomacji nastawionej na zdobycie stopnia, a nie na zdobycie wiedzy. Może też spowodować zjawisko analogiczne do tego, co się obserwuje nie tylko w handlu uspołecznionym: kiedy górny pułap premii osiągnięty, towar się chowa na zaplecze, żeby było czym wypracować premię także w następnym miesiącu. Kiedy średnia, upoważniająca do stypendium, osiągnięta — wstrzymujemy się z uczeniem, żeby starczyło szwungu na następny semestr, na nowe przedmioty, na nową średnią.

Przepraszam, jeśli to jest szukanie dziury w całym. Przecież zestawiam tylko kilka opinii nie moich gwoli przedłożenia całego serwisu ludziom do myślenia. Cieszmy się, że nasza studiująca młodzież jest przedmiotem najżywszego i wcale nie deklaratywnego zainteresowania władz. Uważajmy, aby najlepsze intencje nie zostały wypaczone i zmarnowane.

ĆWIEK

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów .Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Zwirki 17.
Zam. 346. T-4.